№ 46. Warszawa, dnia 15 (3) Listopada 1884 r. Rok IV.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Zielna Nr. 7-a.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ.** 

## WYBORY W NIEMCZECH.

Za taki widok płacić warto, a trzeba być wdzięcznym życiu, że go darmo daje. Kto nie jest fanatykiem, czczącym bezwzględnie całą maszyneryę obecnego parlamentaryzmu, ten w nim już dostrzegł wiele fałszu, wiele pozornej swobody. Ale doprawdy dzieje nowoczesne nie wytworzyły podobno tak rzetelnej komedyi, jaka się rozegrała przy końcu zeszłego i na początku obecnego miesiąca w Niemczech. Wybierano posłów do sejmu. Stanęło hasło: konserwatyści przedewszystkiem, narodowo-liberalni przydadzą się, postępowcy zaś, demokraci i ultramontanie za żadną cenę. Ostatnia z tych potępionych grup stoi na gruncie odgraniczonym i twardym, bo religijnym, w okręgach swych współzawodnictwa się nie lęka, więc wyszła z urny cało, zwycięsko. Co innego dwie pierwsze, które programami swymi zachodzą częściowo w inne i wystawione są najbardziej na zmianę usposobień i warunków. Dzięki „socyalizmowi państwowemu" w polityce rządowej oraz prawom wyjątkowym, podnoszącym smak owocu zakazanego, dzięki wreszcie umiejętnie prowadzonej agitacyi i rosnącym powodom ogólnego niezadowolenia, w pierwszym wyścigu wyborczym spostrzeżono olbrzymi przyrost głosów socyalno-demokratycznych. Tam, gdzie przed kilku laty liczono ich kilkadziesiąt lub kilkaset, zebrało się teraz po kilka i kilkanaście tysięcy. Prawie wszystkie większe miasta: Berlin, Drezno, Lipsk, Frankfurt wpadły w ręce tego żywiołu. Przyrost ów nie był jeszcze dość silnym, ażeby wszędzie przeważyć szalę, ale zaciążył na niej. Skutkiem tego w niezwykle wielkiej liczbie okręgów nie zdecydowano wyborów ostatecznie i musiano wyznaczyć dodatkowe. Tu dopiero zaczęła się komedya.

Jak wiadomo, socyalistów skrępowano w Niemczech t. z. „prawami wyjątkowemi." Uchwalili je głównie konserwatyści i narodowo-liberalni. Przy wprowadzaniu i zatwierdzaniu tych ustaw usprawiedliwiano je zawsze wywodem, że socyalno-demokraci są stronnictwem niebezpiecznem dla państwa, rewolucyjnem, zbrodniczem itd. Zdawało się, że dla konserwatystów i narodowo-liberałów niema wstrętniejszego gatunku ludzi i że raczej stanęliby po stronie każdego innego, niż tego, który dźwigał wszystkie zdrożności. Nagle przy wyborach ukazuje się wzrost tego żywiołu i odrazu czytamy w *Gazecie krzyżowej*, odbijającej echa tajemnych życzeń rządu: „socyaliści *przestali być* dla państwa niebezpieczni." Któżby przypuszczał jeszcze przed trzema tygodniami, że te słowa zabrzmią w takiem miejscu! Ich odgłos pobiegł w najodleglejsze strony państwa i wszędzie, gdzie konserwatyści i narodowo-liberalni nie mogli przeprowadzić własnych kandydatów, oddali swe głosy socyalno-demokratom. To nie sen, ale jawa. Stronnictwa, które uważały się za podwaliny i wiązadła państwa, podają ręce rewolucyonistom, którzy pod to państwo podkładają miny. A dziwaczny ten sojusz nie odbywa się skrycie, tajemnie, wstydliwie, ale jawnie, szczerze. I w imię czego? W imię nienawiści do postępowców.

Spoczęły więc między rupieciami niedorzecznej paplaniny wszystkie te frazesy, którymi dowodzono braterstwa partyi wolno-myślnej z socyalistyczną. Według nas, niema w tej chwili ostrzejszych przeciwników społecznych, jak między tymi dwoma żywiołami. Richterzy nie są braćmi Beblów, ale ich wrogami. I kto zastanawia się głębiej, ten rozumie, że inaczej być nie może. Socyalizm właśnie podważa te zasady, na których liberalizm się opiera. Pierwszy ostatecznie chce znacznie ograniczyć pole swobody, które drugi rozszerzyć by pragnął. Tamten nazywa rozbojem to, co ten strzeże jako prawa.

Nie należy jednak sądzić, ażeby tryumf socyalno-demokratów wywarł wielki wpływ na stosunki polityczno-ekonomiczne nawet w Niemczech, a ks. Bismark ma bardzo ważny powód być zadowolonym z takiego obrotu rzeczy. Jako „realista" pojmuje on dobrze, że gdy postępowcy z 80 mandatów stracą 30, jako partya osłabną, podczas gdy socyalno-demokraci do 13 dołączywszy 20, potęgi nie zyskają. Pozostaną oni drobnym okruchem, który nie wyjdzie po za granice bezsilnych protestów. Co innego wszakże Bismark, a co innego filozofowie dziennikarscy. On, jako polityk praktyczny, rozumuje dobrze, i wypowiada szczerze: dla mnie jest obojętnem, jaki znajduję materyał, aby on tylko był dla moich planów przydatny; nie należę do żadnej partyi, lecz stoję po nad wszystkiemi i z temi rządzę, które mi służą. To jest logika. Ale co sądzić o przekonaniach dzienników, które raz wykazują, że socyalizm to zbrodnia, a drugi raz, że cnota? Co sądzić o wstrętnym handlu, o sojuszach z ludźmi... własną ręką piętnowanymi? Daleko uczciwiej postąpili ultramontanie: zawsze występowali przeciwko socyalistom i teraz przy wyborach nie sprzedawali im swego sumienia nawet tam, gdzieby to mogło im się równoważną usługą odpłacić. Nikt z partyi centrum nie zalecał się tak do robotników i nie wykazywał swego z nimi pokrewieństwa w dążeniach, jak wódz stronnictwa konserwatystów Stöcker, nigdzie też nie dźwignęli oni swemi ramionami katolika tak, jak dźwigali niejednego konserwatystę. „Cel uświęca środki" — to godło brzmiało na linii bojowej śród tych rot, które najsilniej przeciwko niemu powstają.

## „SZUMOWINY PARYŻA."

Podobno najlepszą metodą do ocenienia danego dzieła jest na samym wstępie postawić pytanie: czego autor chce?

Pytanie takie pomaga skutecznie krytykowi do zrozumienia rzeczy i służy niejako za drogowskaz, za którym idąc, dają się czytelnikom obraz myśli i idei pisarza, który nieraz uniesiony albo zapałem, albo zajęty pięknością swego stylu, traci równowagę, odstępuje od pierwotnego zadania i staje się niezrozumiałym.

P. Wolff, słynny kronikarz *Figara*, który świeżo zebrał głośne już w Europie *Szumowiny Paryża* z naturalizmem Zoli, otwiera swe myśli, rzucone na 349 stronicach, zapewnieniem, że „przedstawia obrazy, które nie są płodem jego imaginacyi, ale są to słowo w słowo prawdziwe dokumenty ludzkości, które kiedyś posłużą dla tych, co będą pisali historyę cywilizacyi naszych dni."

Celem zaś tej pracy ma być zwrócenie czyjej należy uwagi na to, że „nasze czasy zostały również barbarzyńskie, pomimo tylu obietnic, i rządy przyszłości, republikańskie, czy monarchiczne—bodajby to tylko byli ludzie serca—zażądają surowego rachunku od obecnych, które zasypiają w bezpłodnych rozprawach politycznych; słusznie je oskarżą, że traciły czas na zaspakajaniu próżności i ambicyi, kiedy tyle spraw największego znaczenia uszło ich uwagi, przez co poświęcili kwestyę socyalną, prawdziwą dla lichej i nieznaczącej — dla gadulstwa politycznego, które po większej części spoczywa na egoizmie. Bo, pomimo wszystkich deklamacyj ostatnich lat piętnastu, ta wielka kwestya czeka napróżno godziny użytecznej rozwagi i prawdziwego postępu, który się może pomieścić w kilku słowach: *zniszczenie biedy i występku przez opiekę nad dziećmi i starcami.* Bez rozwiązania tej wielkiej kwestyi—powiada autor—nie będzie w przyszłości ani spokoju dla szczęśliwych, ani dosyć więzień dla innych—wcześniej czy później zażądają od nas rachunku za tę okrutną obojętność."

Cel piękny, szlachetny, któżby mu nie przyklasnął!

Autor podzielił całą swą pracę na ośm dużych rozdziałów. Oto ich tytuły: 1) Zbrodnia i nędza. 2) Charaktery czarne. 3) Złoczyńcy sławni, 4) Potwory, 5) Naokoło szafotu, 6) Cudzołożnicy okrutni, 7) Ofiary sprawiedliwości, 8) Zbrodnia i głupota.

Każdy z tych działów dzieli się na mniejsze, obejmujące różne odcienia lub wypadki zbrodni i występków, kwalifikujące się do danego tytułu. Pośród zaś tych czarnych i strasznych obrazów błyska tu i owdzie niby prawdziwy kruszec pośród błota — kwestya społeczna. Są tam ustępy tak gorące, tak plastyczne przedstawienie rzeczy, jak może u żadnego z autorów tego kierunku, bo swoje uwagi Wolff przystosowywa do faktów wziętych z rzeczywistości, gdy tymczasem inni tworzyli je sztucznie, by do nich myśl przypiąć.

Pierwszy obraz „Zbrodnia i nędza" jest może najbardziej piorunującym. Aby czytelnikowi ukazać prawdziwe „szumowiny Paryża" autor zapoznaje go najprzód z czynnościami naczelnika policyi, opowiada o jego zajęciach w prefekturze, w Mazas *), w Depôt **), skąd przechodzi do „przedpokoju występku" i w najnędzniejsze zaułki Paryża, do szynku na ulicy Galaude, do tak zwanego „Château Rouge," do szynku nocnego „Au Père-les-Lunettes," gdzie w całej nagości i ohydzie przesuwa przed oczami: nędzę, upadek moralny, ostatnie zezwierzęcenie. Plastyka dochodzi tu do potęgi, zdaje się, że czujesz stęchliznę, zapach wódki, że widzisz łachmany i „cytrynowy kolor skóry" tych istotnych „szumowin."

„Serce się ściska—mówi on — na widok owej nędzy, która występuje tem wyraźniej, że o dwa kroki stąd jest „boulevard Saint-Germain" ze swymi wspaniałymi domami, ze złoconemi kawiarniami, z tramwayem, który jako ostatni wyraz cywilizacyi przechodzi przez ulicę."

Nie będę mówił o obrazach z ulicy Marcadet, gdzie pokazuje czytelnikowi „miasto gałganiarzy" — treść równie straszna, tylko formą inna.

W rozdziale tym ciągnie się szereg widoków okropnych: nędza z rozpaczą i cierpieniem, cuchnące zakątki, z mieszkańcami godnymi największej litości, gdzie na ulicy leży chory starzec opuszczony przez biuro dobroczynne, które kiedyś dawało mu przeciętnie dwadzieścia „sous" (1 frank) przez tydzień, co miało reprezentować miłosierdzie ludzkości; gdzie w zagłębieniu muru, wygodnem zaledwie dla psa, tuli się skostniała od zimna kobieta; gdzie dziecko łamie swe młodziutkie ząbki na zeschniętym kawałku chleba znalezionym w rynsztoku; gdzie widzimy zbrodnię i samobójstwo jako wyniki tej strasznej nędzy. Według Wolffa do zaradzenia temu nie potrzeba wiele, bo „humanitarny utopizm nie żąda więcej dla każdego przestępcy, wychodzącego z tych zaraźliwych kałuż, jak tylko kawałka ziemi, pługa, dwóch wołów i małej owcy dla dziecka, które mu urodzi kobieta równie potępiona. Później ludzkość zrobi jeszcze więcej; zrozumie bez wątpienia, że nie ma prawa (?) wywozić, ani zamykać w więzieniu osobnika szkodliwego. A więc mu ofiarują w okolicach Paryża mały, piękny domek wiejski i pozwolenie jeżdżenia koleją Wschodu, aby co tydzień mógł odetchnąć atmosferą Paryża.": (Doprawdy niejednemu z nas uśmiecha się dziś los zbrodniarza:.. przyszłości *Red.*).

W tym razie autor jest jasny, wyrozumiały, wie, czego żąda. Wprawdzie myśli nie są nowe, istnieją one przeszło od wieku, tylko że wykonanie ich tak idzie oporem—ta stara rutyna tak się mocno jeszcze trzyma, że zaledwie gdzie niegdzie, jak w Ameryce i Anglii, zdołano ją trochę usunąć. Nie zawsze jednak Wolff jest tak szczęśliwy; już w następnym rozdziale wpada z sobą w sprzeczność, przedstawiając grupę występnych niedorostków. Zamiast postępować, cofa się bardzo w tył, w pewnym nawet stopniu unieważnia to, co powiedział z taką siłą wyżej, co powie jeszcze niżej.

„Ci—powiada on—których nazywają myślicielami i którzy postawili sobie za zadanie uniewinniać wszystkich, przedstawiać złodziejów, jako ofiary okrucieństwa ludzkiego, będą mieli piękną kartkę do przeczytania, będą mogli zanalizować życie młodych przestępców, który przecież nic nie mogą zarzucić społeczeństwu,"

I aby dowieść tych słów, opowiada historyę bandy „Gelinier." opisuje jakiegoś zbrodniarza Abadie, Gille et Compagnie, a kończy tak:

„Nie ma dwóch sposobów do odbudowania społeczeństwa; jest tylko jeden, mianowicie: postawić porządnych ludzi z jednej strony, zbrodniarzy z drugiej, a żandarmów pośrodku, aby zasłaniali jednych przeciw drugim." „A jeżeli trzeba jeszcze kata do wyzwolenia nas od potworów — idźmy po kata."

W następnym rozdziale p. t. „Złoczyńcy sławni" opisuje losy niejakiego Isuard, urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń, który skutkiem pewnego rodzaju zboczenia umysłowego wbił sobie w mózg, że jest źle wynagradzany za pracę, że temu winien dyrektor, który uprzedziwszy się do niego

*) Miejsce, gdzie odsyłają wszystkich aresztowanych w Paryżu.

**) Więzienie Paryża.

---

## SZKICE WIEJSKIE.

### Pogrzeb Pauleczki.

Jakie smutne wrażenie robi światełko w chłopskiej chacie. Każdy wie dobrze, co ono tam wownątrz oświeca: niewesołą dolę...

U Bruździaków nie gaśnie już od dwóch tygodni. Chora im dziewucha, kochanie starej — Pauleczka. Położyła się w samo półpoście i leży już trzeci tydzień.

— Co mi tylko kto doredzi, robię — mówi matka — ale nic nie pomaga.

A „doredzających" ma dużo.

Kiedy u maszyny ktoś powiedział: pono z „naszej" Bruździakówny nic nie będzie— stary poszedł po księdza, a w przypołudnie baby zatłoczyły izbę, zeszły się z całej wsi. I nie same poprzychodziły: za każdą wsuwało się kilkoro mniejszych, lub większych „narodów."

A w izbie pod ogromną pierzyną leży Pauleczka. Nie rusza się, patrzy tylko ogromnemi oczami. A jak wychudła! Ktoby ją tam poznał; już nie ta, co była — gdzież zaś!

Dzieci otoczyły łóżko, przerażone.

Jedno drugie trąca:

— Widzis, jak ślepie wyracyła!

Matka skarży się:

— Już drugi tydzień oka nie zmrużyłam; siedź i kocołuj, a niechno na skrzynce zdrzemnę, ona zaraz stęka i woła.

Baby z współczuciem kiwają głowami i nad córką i nad matką. Niektóre „doredzają:"

— Możeby kaszą prażoną obłożyć, możeby na poty, możeby okadzić, albo kamienia utrzeć!

Ale i w doradzaniu ich znać, że to tylko dla pocieszenia matki mówią, a same nie wierzą, żeby już co Pauleczce pomogło. Antkowa nawet to głośno prawi:

— Moja stryjno, to próżnica, nie doczeka już ona nieboraczka świąt. Mój nieboszczyk Jaś rycht takie przykre oczy miał, to com ja mu nie poradzała, i do doktora chodziła i wszystko nic nie znaczyło. Miał umrzeć i umarł, akuratnie byłby tera w dwunastym...

Antkowa przytem otarła oczy fartuchem. I inne otarły. I one przypomniały sobie to „nieboszczyka Jasia," to „nieboszczkę Marysię." Każda przytem opowiada próżne „doredy," śmierć, i każda oblicza, ileby lat miał teraz umarły. Reszta bab w rozczuleniu pdpiera ręką głowę i kiwa nią.

Matka mówi, jak się to „chorobsko" zaczęło.

— To oto, siedziała sobie na ławie i woła: mamulecku, tak me zacisnęło. Ja do niej doskocę, a ona mi zbladła, jak to płótno; ścisnęłam ją za rybecki, a ona mi zemdlała. I odtąd ciągiem tylko woła: głowa i pirsi, głowa i pirsi; sama nie wiem, co robić. Bez mała dwa tygodnie w gębie nic nie miała, toć wyschła, właśnie jak pasyjka.

Odkryła stara pierzynę. Baby ogromnie się zdziwiły.

— Jak sucharecek! wiechatek! drzazecka! — posypały się porównania.

— Jak pasyjka, jak pasyjka — desperuje Bruździakowa. A tu robota nie ceka, z każdego kąta patrzy; a ja głowy do niczego nie mam.

I rozpłakało się matczysko. W izbie rzeczywiście robota „patrzyła." Zośka stała przy balii, w kominie gotowały się kiszki, woń rozchodziła się po całej izbie; ze ścian świeżo pobielonych ściekało, w kącie stał szafik z wapnem. Patrzyło jeszcze kilka głów niepomytych i rozczochranych, ale głowy nie pilne, poczekają wielkiej soboty. Gorąco—zaduch z brudnej

daje mu nawet w końcu dymisyę za listy „anonimowe,“ które Isnard pisał do niego, żądając podwyższenia pensyi. Po dymisyi przychodzi taka nędza, że odprawiony nie ma za co kupić kawałka chleba; biedny, a kochający swe dzieci ojciec, nie znajdując innego wyjścia, wystrzałem z rewolweru zabija dyrektora—sprawcę swego nieszczęścia. Za to trybunał skazał go na karę śmierci—i za to autor pomieścił go w rozdziale zatytułowanym „Sławni zbrodniarze!?“

W opowiadaniu o „Aptekarzu trucicielu“ jest jeszcze surowszym; oburza się na to, że sąd przysięgłych znalazł dla niego okoliczności łagodzące i nie skazał na karę śmierci, której on się dla niego domaga.

Czem dalej, koloryt obrazów coraz ciemniejszy, powiedziałbym nawet — straszny, przerażający.

W rozdziale „Potwory“ jesteśmy pośród morderców, trucicieli — wszędzie krew, witryolej, trucizny — myszy i szczury obgryzające trupy pomordowanych dzieci.

Ale tu i owdzie błyskają światełka jaśniejszych myśli.

Głównie zaś autor atakuje słabe strony kodeksu odnośnie do ojcowstwa i macierzyństwa.

Po przedstawieniu ohydnej zbrodni „fabrykantki aniołków“ —jak mówią w Warszawie — powiada:

„Ale te, które pozostają nietknięte przez prawo, te okrutne matki, które zostawiają swe dzieci kobietom bez serca, bez troski co się z niemi dzieje, bez kłopotu o ich przyszłość, czyż one nie są równie winne jak te ludożerki, zabijające dzieci! Myśmy je widzieli przesuwające się około ławek sądowych, ale na nich nie zasiadały jako obwinione pomiędzy żandarmami. I cóż to za prawo, które karze ludożerki a nie dotyka zbrodni matki, bo przecież porzucenie dziecka jest zabójstwem moralnem, które kwalifikuje się pod topór kata...

Albo ten piękny ojciec figurujący w procesie Mondauban.

— Czy pan jesteś ojcem tego dziecka, które zabiła akuszerka Delpech? — pyta sędzia.

A ten wiedząc, że jest pod osłoną prawa, z zadziwiającym uśmiechem odpowiada:

— Nie oskarżono mnie o to.

Ta dowcipna odpowiedź w obecności szkieletu dziecka, którego śmierć on spowodował, jest cynizmem, na który niema wyrazu i którego prawo nie karze!“

W rozdziale „Sprzedawaczki dzieci,“ atakuje Wolff tę słabą stronę kodeksu, który pozwala sprzedawać dzieci, ale karze tych, co kupują, a to z zasady „fałszywego stanu cywilnego.“

Trudno mu nie przyznać racyi.

Bo cóż to za cywilizacya, która nie widzi tak oczywistych sprzeczności!

Nasz społeczny kodeks jest bardzo giętki. Świat nie idzie naprzód. Nie patrzmy na błędy przeszłości, ale rozbierajmy teraźniejszość i przygotowujmy lepszą przyszłość. Starajmy się kształcić i dobrze wychowywać dzieci, bo jest to jedyny sposób przygotowania ludzi!

Opowiadając znowu o pewnej panience, którą matka biła aż do krwi i za to ukaraną została dwumiesięcznem więzieniem—słusznie zapytuje, czy prawo spełniło swój obowiązek?

Naturalnie że nie, bo nie ubezwładniło matki, która powróciwszy z kozy, ma znów te „same prawa“ i może się pomścić za więzienie, którego przyczyną była córka.

Warto przytoczyć piękny ustęp, którym autor kończy ten rozdział.

„Powiedz mi, Paryżu, środku cywilizacyi, jak cię nazywają: czyż nie widzisz, jak wiele rzeczy ci brakuje do wzbicia się na szczyt cywilizacyi? Ty, co masz tak pomnikowe budowle, pokaż mi pałac, gdzie przyjmują takie Blanki Prost*), i wszystkie te biedne młode dziewczynki, które prawo mogłoby oderwać od niegodziwych matek, aby je wychować w uczuciach szacunku dla nich?

Ileż młodych dziewcząt ginie w tem ogromnem mieście, nie mając w domu dobrego przykładu?

Ach! Ty myślisz, żeś zrobił wszystko, wybudowawszy na Polu Marsowem pałac, o który międzynarodowy przemysł walczy na brzegu Sekwany? Tak, ja wiem dobrze, ty masz, l' Elysée, la Banque de France, Notre-Dame, le Luxembourg, les Champs-Elysées, le Bois de Boulogne — i ratusz błyszczący i pałace, z których może być naród dumny!

Ale dopóki nie będziesz miał monumentu wspanialszego jak inne, który będzie zarazem kościołem i szkołą dla tej młodości zabłąkanej w odmęcie Paryża, która się rodzi w występku, wzrasta w skrzywieniu i często kończy na zbrodni, dokąd nie wzniesiesz tego pomnika dla twej chwały i dla honoru rodzaju ludzkiego, będziesz najświetniejszem miastem, ogniskiem najbłyskotliwszem i najprzyjemniejszem, dokąd cudzoziemcy będą zwozili swe pieniądze, ale nie będziesz jeszcze tą potężną pochodnią cywilizacyi, o której marzy poeta, co ci schlebia!“

Komentarzów zdaje się nie trzeba.

W dalszym ciągu autor jest znów mniej wyraźny, niezdecydowany. Rozdział zatytułowany „Około szafotu“ zajmuje się karą śmierci, z którą autor sam nie wie, co zrobić. Czy głosować za jej zniesieniem, czy ją zachować dla takich np., jak Troppman i dr. Lapommerayo, który otruł swą utrzymankę, aby uzyskać sumę asekuracyjną za jej życie, to znów chce odnowić ścinania zbrodniarzy z taką okazałością, jak to było w wiekach średnich, kiedy występowali kaci, ubrani w czerwony kostium, kiedy kara odbywała się z paradą, publicznie; nie tak, jak teraz, pokryjomu, o zmroku. Oburza się nad nową gilotyną, nad wykonywaniem kary śmierci na prowincyi, pomimo tego opisuje z pewnem upodobaniem kata Heindereicha, z przyjemnością z nim rozmawia wraz z p. Sardou; robi mu to raz przyjemność, to znów jego nerwy się wstrząsają.

Trzeba tylko zaznaczyć, że opisanie ścięcia Troppmana jest mistrzowskie.

Rozdział „Cudzołożnicy krwawi“ jest blady — zwyczajna kronika skandaliczna z kilku wykrzyknikami. Dopiero w następnym, zatytułowanym „Ofiary sprawiedliwości,“ jest i wymowny i silny, szczególniej w dwóch opowiadaniach: „historya rzeźnika Lebocuf“ i „niewinny w Mazas.“ Czyż może być coś okropniejszego, jak podejrzenie o zbrodnię i uwięzienie niewinnego.

„A prawda jest jeszcze inna: rzucenie potwarzy lub coś podobnego przez gazety, które albo polują na skandal, albo zaślepione walką stronniczą zwalczają przeciwników publiczną potwarzą.“

Obraz, skreślony przez Wolffa jest poruszający do głębi. „Po bezskutecznem wołaniu o pomoc do ludzi, podejrzany zwraca się do Boga. Ty tam na wysokości, co widzisz wszystko, co znasz wszystko, Boże wszechmocy, do którego posyłałem pierwsze me wyrazy i którego będę wzywał w ostatniej godzinie, ty, który karzesz złych a nagradzasz dobrych, ty, który czytasz w mej duszy, wesprzyj mię! Patrz oto na kolanach cię błagam — jeżeli cię kiedyś obraziłem przebacz — Boże sprawiedliwy — Boże dobry! przebacz mi!!!

Nic!

A za tę walkę straszną, za to rozpaczliwe położenie, za zbezczeszczenie wobec krewnych przyjaciół i znajomych, skoro okazało się że nieszczęśliwy jest niewinny,

*) Panienka bita przez matkę, o której wyżej mowa.

---

bielizny i wapna dusił. Jak tam Pauleczka wytrzyma! Musi wytrzymać, gdzież ma leżeć? W lecie jest stodoła, a w zimie co? Izba, jedna izba. Baby pokiwały jeszcze głowami, pogadały i poszły. Pauleczka wciąż leży nieruchomie. Nie słyszała pewno, co jej wróżyły, a choćby i słyszała, toby też tak nieruchomie leżała. Wie dobrze, że takie gadanie nie zawsze się sprawdza, a powtarza się przy każdym chorym. Słyszała już, kiedy ojciec chorował, jak matka z płaczem o pochowaniu radziła i jak desperowała, że jej sieroty z takim drobiazgiem nikt nie weźmie. A przecież w trzy dni stary, jakby nigdy nic, rąbał babie drzewo i sieczkę rznął.

O, ona jeszcze myśli żyć, myśli, że przed samemi świętami wstanie, po księdzu zaraz jej się lepiej zrobi. Mówi do Zośki:

— Wypierz mi białą sukienkę, mnie pan Bóg przemieni, będę jeszcze niosła obraz w święta!

Nie poniosła go jednak.

Antkowa przepowiedziała, że nie doczeka świąt Pauleczka. Umarła. Lamentu z początku wielkiego nie było, starzy dawno śmierci oczekiwali, ale strach był wielki. Dzieci w kątach patrzyły przerażone na rozwarte oczy umarłej, trzęsły się.

W nocy było gorzej. Nie każdy chłop ma przy izbie alkierz, niema go i Bruździak a brak ten odczuwają teraz wszyscy. Odczuwają dzieci najwięcej. Dziewuchy wszystkie razem spać się ułożyły, tuliły się jedna do drugiej. W nocy Zośka wyraźnie czuła zimne palce Pauleczki.

— Siostrzyczki kochane — woła — Pauleczka ciągnie mnie za nogi.

Podkulila je pod siebie.

Nie spały już, przemęczyły tylko noc. Smutny był i ranek. Każdy wstawał, klękał przy umarłej i płakał; modlił się pewno także.

Zasiedli do śniadania. Matka pierwsza spojrzała na umarłą córeczkę i z nowym płaczem rzuciła łyżkę. Położyli wszyscy, śniadania nie tknięto, jadła tylko mała Jula. Ale głód przemógł i odrazę i strapienie: po obiedzie sprzątnięto czyste miski. Pauleczka umyta, uczesana leży teraz na środku izby, przykryta prześcieradłem. Już od południa przychodzą „do ciała“ pomodlić się. Bruździaczka przy wejściu każdej kumy rzuca się na ciało córki i woła żałośnie:

— Córko moja najkochańsza, juześ me porzuciła!

Wieczorem przyjdą śpiewać, jak zwykle umarłemu. Bruździaczka wie o tem. Już placki upieczone. Pali się pożyczona lampa i duże świece. Pauleczka leży tak samo na środku izby, nieubrana jeszcze. Naschodziło się "narodu." Pauleczka zawsze „chodzywała“ śpiewać, choćby najmniejszemu dziecku. Mówią też we wsi, że zasłużyła sobie — i idą. Pewnieby jednak i bez tego przyszli. Jest już w izbie i Patoka, co zawsze kompanie na odpusty prowadził. Przyszła i stara Jędrzejka. Jędrzejka z Patoką nie lubią się, zawsze się posprzeczają. Pokłóciła się i teraz, wcale niepotrzebnie. Jędrzejka chce zacząć śpiewy pieśnią o „św. Józefie,“ Patoka znów zarzeca, że zawsze i wszędzie śpiewają „Barbaro święta.“

— Olaboga — skarży się Jędrzejka najbliższej babie — jaki ten Patoka dziwny człowiek; bo mnie to pewno pirszyzna śpiewać przy umarłym; oto i nieboszczyk młynarz zawsze śpiewywał o św. Józefie.

Ale tak silny argument nie trafia widać do przekonania Patoce, bo rozległo się już w izbie:

— „Barbaro święta, perło Jezusowa, Ścieżko do nieba grzesznikom gotowa!“

Jędrzejka w złym humorze nie śpiewa, skarży się jeszcze sąsiadce, że Patoka, to taki "zazdrośnik," że tylko on najlepiej śpiewa, najlepiej „mądrzy;“ nikt nie „ro-

otworzą drzwi strasznego więzienia i powiedzą ci:

Mój chłopcze jesteś wolny.

I oto wszystko.—Ale czyż to dosyć? Naturalnie że nie—więc autor żąda, aby przynajmniej naczelnik policyi odprowadził nieszczęśliwego do jego domu i tam głośno oświadczył, że jest niewinny. Inaczej bowiem, po wycierpieniu w zamknięciu, pozostaje na nim wieczna plama, z której złośliwi lub nieprzyjaciele nie zaniedbają skorzystać.

Ostatni rozdział obejmuje żądanie reformy publicznych zakładów dla waryatów. Kończy zaś podniesieniem cnót „stróżów pokoju"—to jest policyantów, którzy poświęcają się, bo chodzą w nocy po ulicach, gdzie wałęsają się złoczyńcy, uczynni, bo pomagają starcom przejść przez śliską ulicę, za co im płacą pięćdziesiąt centimów na dzień!...

Oto cała treść tej zajmującej istotnie pracy, która chociaż nie jest romansem, czyta się przecież z wzrastającem po każdej stronicy zajęciem.

Tylko po skończeniu, gdy zastanowisz się i spytasz—co autor chciał wyrazić? trudno dać jaką zdecydowaną odpowiedź.

Myśli oryginalnych, samodzielnych nie ma wcale. Autor tylko rozwija idee tych badaczów, którzy pracowali nad zmianą systemu więziennego w Irlandyi i Anglii—nad czem i u nas pracował pomiędzy innemi Andrzej Zamoyski. Że kodeks ma wady i wielkie—to nie nowina. Wiedzą o tem lepiej prawnicy—nie tają tego profesorowie na uniwersytetach, wykazując błędy szczegółowo. Ale wiedzą oni też dobrze jakie są trudności w ułożeniu ustaw doskonałych. Pomimo najgoretszych chęci prawodawcy jeszcze można coś pominąć a przez to narazić wiele jednostek na nieszczęście.

Słuszne jednak jest żądanie rychłej reformy i lepszego zastanowienia się nad kwestyą społeczną, zamiast płytkich rozpraw parlamentarnych i śmiesznych nieraz interpelacyj w sprawach mniej niż bagatelnych.

*Gnotus.*

## Z GALICYI.

*Lwów, 8 listopada.*

Smutna historya o Filonie i Filidzie. — Wybór posła do Rady państwa. — Dr. Lewakowski posłem. — Zapowiedź przyszłych wyborów. — Budżet krajowy na r. 1885. — Przeobrażenie Koła literackiego w kasyno. — Horoskop, postawiony przez p. Platona Kosteckiego.

„Matka nie znając powodu,
Poszła Filis do ogrodu..."

Któż tam mógł wiedzieć, co za konszachty miał p. Kozłowski z bar. Schwarzem—po co polska Filis chodziła do niemieckiego Filona? Powód schadzek tajnym był zarówno w Kole polskiem, jak i w kraju, domyślano się tylko, że jeśli miłość gra w tem rolę, to pewno nie platoniczna. Mogła bowiem Filis być jeszcze całkiem niepokalaną, ale szelma Filon zbyt wiele miał już w życiu swojem awantur miłosnych, aby z budzącej się w dziewicy chęci do życia nie skorzystać po swojemu. No i uwiódł dziewczynę!

Wykazał to z odpisami aktów sądowych w ręku redaktor *Kuryera lwowskiego*, Rewakowicz, dla swej nieskazitelnej uczciwości szanowany tutaj powszechnie. W wielkiej sali ratuszowej, natłoczonej wyborcami — podczas gdy galeryę zajęły kobiety i niewyborcy — odczytywał on wśród głębokiej ciszy akt, po akcie, miarowym swoim głosem, którego ani razu nie podniósł do diapazonu oburzenia. Mimo to żelazną logiką faktów, których świadomość zdobyć — jak się łatwo domyśleć można — dopiero po szalonych wysiłkach, udowodnił zgromadzonym dostatecznie winę p. Kozłowskiego, jak i wielu, wielu innych, o których po uzupełnieniu dokumentów rozpowie *contribuenti plebi* innym razem. Dziwna była nieopatrzność tych panów! A przecież

„Chcąc Filona kochać skrycie,
Trza ostrożną być kobiecie!.."

Nieprawdaż, piękne panie?... Ale to tylko wy posiadacie tę sztukę — mężczyzna nie ukryje się z miłością nigdy. *Probatum est!..* Gdy sprawa Kamińskiego wyszła na jaw, p. Kozłowski, hr. Ludwik Wodzicki i cały *Länderbank* potracili głowy kompletnie. Nie wiedzieli wprawdzie wszystkiego, co wiedzieli, ale to, co zapisano w aktach, wystarczyło p. Rewakowiczowi zupełnie do wykazania, że p. Kozłowskiemu wyasygnowano 60.000 złr., temu tyle, owemu zaś tyle itd. Wszystko to było oddawna publiczną tajemnicą, ale nie poparte dowodami, budziło wątpliwości w ludziach, do oskarżań i dorywczego sądzenia niepochopnych. To też oburzenie było tem większe, gdy po tysiącznych zaprzeczeniach, sprostowaniach, sądach honorowych i tym podobnych alembikowych czynnościach — przekonano się wreszcie dowodnie o całej prawdzie niewyraźnie dotychczas bąkanych zarzutów. Oburzenie to wyrażono dosadnie w rezolucyi, na temże samem zgromadzeniu przez wyborców uchwalonej, a oświadczającej wręcz ubolewanie z powodu zachowania się Koła polskiego i stosunku niektórych jego członków do *Länderbanku*, który w sferach poselskich szerzy prawdziwą zgniliznę. Ciekawa rzecz, co Koło polskie w Wiedniu uczyni z opinią mieszkańców stolicy kraju... Hr. Taaffe radził zaraz na początku: *auskehren!* — wymieść, wątpię jednak, aby delegacya nasza zdobyła się na krok tak stanowczy. Cokolwiekbądź, rezolucya lwowska ma doniosłe znaczenie, dla wszelakiego zaś rodzaju *schweiggeldziarzy* płynie z niej nauka:

„Nie z Filidy przykład brać.
Kto chce kochać, nie trza spać!.."

Działo się to wszystko na zgromadzeniu przedwyborczem. Ach, bo brakło nam znowu jednego w Wiedniu przedstawiciela! Prof. Zacharyewicz złożył, jak wiecie, mandat, nie zdoławszy przeprzeć w Kole ani jednego z wniosków, których uchwalenie uważał za potrzebne i korzystne dla kraju. Rozpisano więc wybory uzupełniające. Dziwna jednak rzecz, a w wysokim stopniu stosunki nasze charakteryzująca — nikt, absolutnie nikt zrazu nie chciał się podjąć kandydowania. Prawda, że to kosztuje wiele, a rezultat jest niepewny, ale główna rzecz w tem, że dziś uczciwy kandydat żadnych przyrzeczeń czynić nie może, bo przy trudnym statucie Koła, lekceważącym zdanie mniejszości, we wszystkich niemal sprawach rozstrzyga konserwatywno-szlachecka większość. Kandydat, który z tą większością *podobno* nie pójdzie, ale też i niczego stanowczego nie przedsięweźmie, a pobity w Kole — pozostanie w niem nadal, zgłosił się wreszcie. Jest nim dr. Karol Lewakowski, osobistość — zwłaszcza we Lwowie — prawie nieznana. Zaznaczył on swoje przekonania tak blado i ogólnikowo, że niewiele się po nim spodziewać można. Poparła go jednak *Gazeta narodowa* i *Dziennik polski*, *Strażnica* nawet, więc przeszedł, podczas gdy mniejsza połowa głosów padła na profesora uniwersytetu Gryzieckiego, człowieka bardzo zacnego i postępowego. Zbyt późno, bo prawie w przeddzień (!!) wyborów wysunięto tę drugą kandydaturę, to też pomimo poparcia *Kuryera* i jednomyślnego głosowania wszystkich rusinów, których dr. G. jest szczerym (złożył dowody) przyja-

---

zumie," tylko on jeden. Skończyli pieśń. Rozlega się nowa.

„Same się muszą kruszyć twarde skały..."

A Jędrzejka jeszcze zirytowana milczy. Bruździakowie posnęli. Stara położyła głowę na kominie i chrapie. Zośka także nie śpiewa. Widać ją w kącie izby, rozmawia z Marysią „furmaniakówną." Marysia się dziwi, że teraz Zośka będzie miała tyle „oblecenia" dwie białe sukienki.

— Chyba odprzedas jedną — mówi.

Ale Zośka ani myśli odprzedawać, wszystko po Paulecce weźmie, nawet pierzynę i chustkę czarną, mamulka tak mówiła. Marysia dziwi się jeszcze raz, może trochę zazdrości, ale nie daje tego poznać, chwali tylko czarną chustkę, że takiej drugiej w całej wsi niema. Dodaje, że pewno i jej mamulka kupi taką samą na święta, obiecała.

A Paulecce śpiewają tymczasem „Pielgrzymie." Już i dwunasta blisko. Wszyscy naprzód wiedzą, że teraz, to już i Jędrzejka przeprosi się. A przecież to o dwunastej zaśpiewają jej najulubieńszą pieśń:

Żegnam cię mój świecie wesoły,
Już idę w śmiertelne popioły.
Bije pierwsza godzina!

Nie było wypadku, żeby jej Jędrzejka kiedy nie wtórowała. Mówią też, że nikt tak sztucznie zaśpiewać nie umie „bije pirsa godzina." Jędrzejka jedna na całą wieś.

Lubiła ją i Pauleczka, ale nie pomyślała nigdy, żeby ją tak rychło dla niej śpiewali. Oj nie pomyślała! Nie takie sobie piosnki nuciła i nie o takich dla siebie śniła. Dziewuchy żartowały z niej, że gustuje w Jaśku, nie wiedziały jednak, w którym. Żartowały, bo we wszystkich Pauli piosnkach figurował Janek. Ba! nawet w takich, gdzie inne śpiewały:

A gdzie jadzies Maciusiu nadobny,
Syrce moje ozdobne? Nie powiem.

Paulecce zawsze się złożyło „Janusiu nadobny," może wcale niewinnie — przypadkiem. Dziewczęta jednak twierdziły, że to wcale nie przypadkiem.

Kto wie, może i „nadobny Januś" śpiewa z innymi umarłej. Płaci jej za piosenki teraz po śmierci „pieśnią nabożną."

Już się rozwidnia, w chacie Bruździaków ucichło, rozeszli się do pracy. Bruździakowa na „odchodnem" dziękowała za „grzeczność," częstowała plackiem.

— Choć to nie zwycaj dawać, ale wiem, zeby Paulecka była rada dać.

A stara chciałaby teraz we wszystkiem dogodzić Paulecce. Jak ją ustroiła do trumny! Bo przed śmiercią mówiła:

— Pochowajcie mnie, jak wuj Joalkę i ksiądz niech będzie i biała truma.

I była „biała truma" i ksiądz.

Pauleczka leży w niej, jak zielona gałązka, osypana białym kwiatem. Wystrojona, cała biała i w wianeczku, w welonie długim. Matka posypała ją listkami mirtu, mówiąc:

— To twój ulubiony kwiatek, weź że go z sobą.

Mała Jula całuje ją to w rękę, to w twarz i dziwi się, że Pauleczka taka ładna, tak ubrana „przesipia się."

A ze wsi znów się ludzie schodzą, będą ciało wyprowadzali. Izba pełna. W sieni rozmawiają; baby dziwią się.

— Nie byle pogrzeb—mówi Jędrzejka—nie pożałował stary dziewusi, ma tak wszystko, jak chciała. I ksiądz z mową będzie; żądał 15 rubli, ale pono przystał na 12.

Prawda, nie pożałowali Bruździakowie pieniędzy na pochowanie swojej kochanej dziewuchy. Kochali ją też, kochali! Matka mawiała dawniej:

— Jużci ona dobra jest dziewucha i do roboty galanta i dowcipna do książki, ale

ciałem — z urny wyborczej wyszedł kandydat większości dziennikarstwa.

Mniejsza zresztą o to! Mandat, jaki otrzymał p. Lewakowski, starczy mu tylko na jedną sesyę Rady państwa, bo na wiosnę, a najpóźniej w lecie, będziemy mieli nowe, powszechne wybory. Zapowiadając tę wielką tragikomedyę, w której farsę odegrają ci, co mają władzę i siłę w ręku, podczas gdy część tragiczna spadnie na wszelaką opozycyę — rusinów i postępowców — niemam jeszcze wyobrażenia o przypuszczalnym rezultacie zapasów. To tylko pewne, że walka będzie znacznie zawziętszą, niż przed sześciu laty. I nie trzeba być galicyaninem, a w wyborach nigdy nie brać udziału, aby sobie nie czynić oskominy na ten szereg wrażeń, które grają na nerwach podobnie, jak muzyka wojenna, albo huk armat i strzelba karabinów!...

Zdając sprawę z czynności sejmu końcowych w liście poprzednim, nie wspomniałem dla braku miejsca o budżecie. Nagradzam to dzisiaj. Dla krótkości i łatwiejszego oryentowania się podaję cyfry okrągłe, z któremi dojdziemy jednak, jak czytelnik ujrzy poniżej, do rezultatów, najzupełniej zgodnych z rzeczywistym stanem rzeczy. Obliczono więc wydatki na półczwarta miliona. Ponieważ zaś dochody kraju przedstawiają sumę zaledwie pół miliona, trzy brakujące miliony pokryć zatem wypadło dodatkiem do podatków stałych, rządowi płaconych. Suma tych podatków wynosi 10 milionów złr., z czego wynika, że 30 centów dodatku do guldena podatku dostarczy żądanej właśnie kwoty 3 milionów na potrzeby krajowe. Znaczy to także, że wprawdzie nie o 5, jak pierwotnie głoszono, ale zawsze o 3 centy podniesiono dodatek, który dotychczas wynosił 27 centów. Doliczywszy do tego $27\frac{1}{2}$ centów dodatku na spłatę indemnizacyi, otrzymamy pokaźną sumkę $57\frac{1}{2}$ centów podatków krajowych obok każdego guldena, oddanego na potrzeby ogólno-państwowe. Jest to bezwarunkowo za wielki ciężar, zwłaszcza dla narodu biedniejszego. Zważmy bowiem jeszcze i to, że oprócz rządowych i krajowych mamy nadto najrozmaitsze podatki i daniny powiatowe, gminne, kościelno-konkwencyjne itp.

Podam jeszcze skielet budżetu na r. 1885 w jego najgłówniejszych pozycyach. Przedstawia on się tak:

Koszta reprezentacyi (sejm i wydział krajowy) 100,000 złr.; administracya autonomiczna 228,986; szpitale, szczepienie ospy itp. 715,770; zasiłki dla zakładów dobroczynnych 11,572; wydatki na cele oświaty 456,058; utrzymanie pomników historycznych 16,410; kwaterunkowe żandarmeryi 76,891; drogi krajowe 897,077; budowy wodne 122,443; wydatki na cele gospodarstwa krajowego 261,356; oprocentowanie i umorzenie długów 376,502; różne 188,570. Razem 3,451,865 złr.

W rubryce wydatków na cele oświaty figurują obok najważniejszego budżetu szkolnego między innemi następujące pozycye: Akademia umiejętności 15,000 złr., „Proświta" (ruska) 1000, „Wydawnictwo ludowe" we Lwowie 1000, Teatr krakowski 8000, Teatr polski we Lwowie 24,300, Teatr ruski 5000 złr.

No, kładę już krzyżyk na ubiegłą sesyę sejmową i przechodzę znowu do spraw miejscowych. A mam do zanotowania fakt, przynajmniej na poły cudowny: poruszenie się Koła literackiego... Dalibóg, poruszyło się. I jak jeszcze!

„Niema już kwestyi: kres dziejów skończony!..
Alfa z Omegą za ręce się biorą,

. . . . . . . . . .

Słońce poświeci już i nocną porą
I już na świecie żaden cud nie płaci:
— Mają kasyno lwowscy literaci!.."

Tak jest, Koło nasze zaniechało już zamiaru konkurowania z Akademią umiejętności i przeobraziło się w kasyno, mówiąc po naszemu, albo resursę — po waszemu. Dotychczas zbierali się członkowie jego mniej więcej raz na miesiąc, aby wysłuchać nudnego odczytu i rozejść się następnie po cukierniach na gawędkę. Teraz zaś lokal Koła, znacznie obszerniejszy i posiadający czytelnię, otwarty codziennie od rana do wieczora, kupił będzie w sobie wszystkich, a jak dotąd, rozbitych na najrozmaitsze kółka i kółeczka literatów, uczonych i artystów. Jaka rozczulająca zgoda! A jednak nawet p. Platon Kostecki, który „kazaniem cywilnem" otworzył podwoje nowej chaty, nie wierzy w długotrwałość tej harmonii:

„Niech nas porąbią, niechaj nas powieszą,
Wolimy chyba nieść księżyc na ziemię,
Ku zgodzie wołać wszechświata narody:
— Ale nie damy z siebie wzoru zgody!..."

*Rewera.*

---

# BADANIA DZIEJOWE.

R. Hube **Wrożda, wrożba i pokora** (*Ateneum* z r. 1884, zeszyt wrześniowy). Adolf Pawiński **O pojednaniu w zabójstwie według dawnego prawa polskiego.** Warszawa, nakład redakcyi Biblioteki umiejętności prawnych, 1884. 8-ka, str. 123.

Krwawa pomsta na osobie zabójcy przez krewnych nieboszczyka w stałem była pierwotnie w całej Europie użyciu, jako zwyczaj prawny, utarty wiekami. Dokonanie odwetu było nietylko prawem osieroconego przez zabójstwo rodzeństwa, lecz obowiązkiem, którego zaniedbanie sprowadzało niesławę i hańbę. Że zwyczaj na pomstę zezwalał, a opinia do niej zmuszała—wywiązywały się, jako następstwo zabójstwa, walki, prowadzące za sobą zagładę nietylko jednostek, lecz całych rodzin i rodów. Trwało to dopóty, dopóki nie poczęło się budzić w społeczeństwie poczucie potrzeby pokoju i dopóki nie wzmogło się państwo, w którego interesie leżało ukrócenie dzikich namiętności i samowoli jednostek. Przedsiębrane jednak dla ugruntowania pokoju powszechnego przez państwo środki zasadzały się nie na prostym zakazie pomsty, lecz na osłabieniu natężenia jej przez powstrzymywanie w krewniakach zabitego pierwszych, najgorętszych uniesień. Obmyślano w tym celu pewne dla zabójcy schronienie, dawano mu możność wydalenia się na jakiś czas z kraju, ułatwiano pojednanie się itp.

Pomsta krwawa istniała w Polsce; ślady jej przechowały się w księgach sądowych mało- i wielkopolskich, w prawie mazowieckiem z końca XIV stulecia i w pomnikach późniejszych. Toczyły się z okazyi zabójstwa walki rodów, tak zwane *wroźdy* (wróg, wrogi); były też praktykowane i środki dla położenia tamy opartym na zwyczaju krwawym najazdom. Właśnie przedstawieniu form pojednania krewniaków nieboszczyka z zabójcą zasłużeni na polu naukowem: wydawca *Źródeł dziejowych* i autor *Prawa polskiego w XIII w.* oddzielne poświęcili rozprawy.

Do najpowszechniejszych środków pojednania należał okup pieniężny, nazywany głową, głównem, zagłównem. Wysokość jego zależną była od stanu, do którego należał nieboszczyk i w miarę rozwijających się w społeczeństwie poczuć moralnych wzrastała. Za głowę kmiecia płacono 5 do 10 grzywien; główszczyzna za zabójstwo

---

my tę sielmę nie za to kochamy; to już taki narod, mówi, ze nigdy nie odgada, choćbyś ją tu ubił. Ojciec, zwyczajnie stary, zwymyśla nieraz, to ona wysłucha, pójdzie na górę, wypłace i stało się, a Zośka, ona zara odszczeka.

Baby zgadzały się, że rzeczywiście Zośka, to już wcale „jensza natura."

Jakie też żałosne było pożegnanie matki z Pauleczką! Ciągle wracała do trumny, wołała:

— Paulisiu, Paulisiu, tysiące moje, jakze ja biedna sierota bez ciebie zyć będę! I całowała zimne ciało, przykładała swoje ręce do ust umarłej.

Wyniesiono trumnę przed dom. Ksiądz powiedział mowę. Pożegnał od Pauleczki wszystkich, nawet niekrewnych. Każdy z żegnanych, jakoby dziękując umarłej za pamięć, obejmował i ściskał księdzu nogi; wujny przytem i stryjny oraz ich mężowie płakali. Baby z mowy były bardzo zadowolone, zapewniały, że tylko „nas książek" umie tak „po płacu" powiedzieć. Co prawda, to mowy „książek" miewał na wszystkich pogrzebach jednakowe, prawie dosłownie, ale to przecież zupełnie nie przeszkadza, żeby „do płacu." Owszem, najlepszy dowód tego dawały baby na wszystkich pogrzebach, wracały z popuchniętemi oczami. Żegnanie od umarłych — to zwykle druga część mowy.

Jak złośliwie wójt tutejszy twierdzi, bywało tem serdeczniejsze, im zapłata wyższą. Ale wójt pogniewał się z księdzem, jakby powiedziała Jędrzejka: zwyczajnie ma złość do niego. Z góry też i ja zaznaczam, że może to twierdzenie „złośliwe."

Kiedy po skończonej mowie chłopaki ponieśli trumnę, Bruździakowa rzuciła się z załamanemi rękami:

— Juz mnie porzucas, córko najkochańsa—wołała — nie wrócis już do mnie, samaś mnie zostawiła, sierotećkę.

Stary zapłakał pierwszy raz od śmierci dziecka, żal matki wszystkich rozrzewnił.

— Czegózem ja docekała nieszczęśliwa—łkała stara — Paulecko najkochańsa, juz cię nigdy nie zobacę. A któż mnie poratuje teraz biedną sierotę. Nie wrócis do nas tysiącna dziewucho, nie wrócis!

Poszli z trumną. Poszłaby i Bruździakowa, ale wie, że to nie można, wie, że nie dobrze wyprowadzać matce pierwsze umarłe dziecko, możeby wyprowadziła potem wszystkie kolejno. Nie pójdzie też, zostanie. Za trumną postępuje cała wieś; odprowadzą do kaplicy, a stamtąd już stary sam odwiezie umarłą do kościoła. Zośka teraz wyrzeka, powtarza, co słyszała u matki, aż ochrypła od krzyku.

Najbliżsi trumny trochę „smętkują," ocierają oczy, mówią o chorobie Pauli; dalsi przypominają swoje własne słabości, niektóre baby opowiadają śmierć swoich najbliższych. Postępujący na końcu cieszą się, że na ostatnim targu świnie podrożały, ktoś żałuje, że swoje „zmarnował." Niektórzy ziewają.

Zdala dolatuje jeszcze płacz Bruździakowej, słychać, jak woła: żegnam cię, córko moja najkochańsza.

I nie poniosła Pauleczka obrazu w święta. Między trzema dziewuchami jest czwarta Zośka w białej sukni, w czarnej chustce, w tej samej sukni, co Pauleczka dla siebie szykować kazała. Nikt zmiany nie uważa, matka jedna. Ktoby tam jeszcze pamiętał, że Pauleczka nie żyje!

*X. X.*

szlachcica wynosiła w XIV wieku grzywien 60; równała się przeto według obliczeń prof. Pawińskiego ówczesnej wartości 2—3 włók ziemi, albo 50 wołów, albo 40 koni, albo 720 korcy pszenicy, albo 960 korcy żyta lub 1440 korcy owsa. Okupowi towarzyszyła zwykle tak zwana *pokora*, t. j. prośba o odpuszczenie i publiczne wyznanie winy. Na Mazowszu (pod koniec XIV w.) zabójca po zapłaceniu główszczyzny ma „chusty (ubranie) do pasa opuściw, z nagim mieczem samotrzynaście" pokorę czynić „a ma prosić przebóg, aby jemu obrażenie odpuszczono."

Najciekawszym jest jednak przedwstępny warunek pojednania, zwany w pomnikach mazowieckich *wróżbą*. Według statutu z r. 1390 „jeżeli szlachcic zabije szlachcica, wtedy strona pokrzywdzona powinna przez usta woźnego potrzykroć w sądzie lub na rynku obwołać zabójcę, a wywołaniec od czasu ostatniego wywołania powinien wydalić się z ziemi na rok i sześć niedziel, czyli cierpieć uchwałę, pospolicie *wróżbę*, po za krajem swoim, potem zaś pokonany prawem zapłaci 48 kóp groszy." Na *wróżbę* zwracał już uwagę Maciejowski badał ją również znany autor *Dawnego prawa mazowieckiego*, Dunin; ogłoszone obecnie rozprawy nowe na ten przedmiot rzucają światło. Dunin genezy *wróżby* szuka w czasach zamierzchłych, „kiedy uchwały ludowe połączone były z różnemi ceremoniami religijnemi, zwłaszcza wróżbą, mającą na celu zbadanie woli bogów;" Maciejowski przypisuje powstanie jej zwyczajowi dochodzenia prawdy w zarzucie zabójstwa za pomocą wróżby rzucanych losów.

Przeciwko powyższym wywodom oświadcza się zarówno prof. Pawiński, jak i senator Hube. Utożsamiają oni *wróżbę* (nie *wróżbę*), z *wrożdą*—nic wniej wspólnego nie znajdując z wróżbiarstwem. Poglądy obu badaczów na wrożdę, wróżbę i pokorę w rezultacie nie różnią się niczem, wzmacniają się owszem wzajemnie. Senator Hube szerzej zużytkował w swej pracy źródła słowiańskie, mianowicie morawskie i czeskie; prof. Pawiński podał na końcu rozprawy piękny materyał, dobyty z ksiąg sądowych XIV, XV i XVI stulecia. Zdaje się przecież, że prof. Pawiński dla udowodnienia istnienia pod koniec XIV wieku pomsty, jako zwyczaju prawnego, nie zawsze odpowiednich używa faktów. Powołana przez szan. autora walka Kamieńczyków z rodem Lubów istotnie miała za źródło pomstę; nie może jednak być uważaną za przykład postępowania prawnego, skoro uczestników jej sądy pociągnęły do odpowiedzialności i surowo jako gwałtowników karały. Dla udowodnienia prawnego istnienia pomsty w danym czasie służyć mogą nie czyny, poczytywane przez władzę państwową za bezprawie, lecz fakta uświęcone przez prawo i zwyczaj powszechny. Wszakże i dzisiaj zdarza się zemsta, nikt jej przecież nie przypisuje charakteru działania prawnego.

*Sm.*

## PODRĘCZNIKI NAUKOWE.

### I.

Tadeusz Korzon. **Historya wieków średnich.** Warszawa 1884.

Stało się zwyczajem na zarzut naszego ubóstwa naukowego odpowiadać wskazywaniem coraz bujniejszego rozwoju historyografii polskiej. Ale historya, jak każda nauka, musi być powszechną i wszelkie prace zamykające się w obrębie życia jednego narodu są zawsze pod pewnym względem tylko monografiami. Najdokładniejsze opisanie flory krajowej i umiejętna jej klasyfikacya, nietylko nie dają pojęcia o całokształcie botaniki, nie stanowią nawet odrębnej jej części, ale są zaledwie przyczynkiem do ogólnej systematyki roślin. Takie znaczenie mają dla historyi, jako nauki, prace młodych badaczów naszych, będące, ściśle rzecz biorąc, jedynie umiejętnem, krytycznem zestawieniem materyału historycznego, ograniczonego warunkami miejsca i czasu. W zakresie zaś dziejów powszechnych nie posiadamy wcale prac samodzielnych ani nawet znośnych kompilacyj.

Dzieło p. Korzona, należące do tej drugiej kategoryi a wydane powtórnie, stanowi niejako wyjątek. Wyjątkowość ta wszakże polega na tem, że autor polak zajmuje się historyą powszechną, bo pod względem wartości wewnętrznej praca jego nawet wymaganiom umiarkowanej krytyki bardzo często nie odpowiada.

Przeważną, żeby nie powiedzieć, wyłączną uwagę zwraca p. K. na stronę polityczną dziejów. Przeglądając spis dzieł, z których korzystał, nie znajdujemy wcale prac Maine'a, Maurera, niektórych prac Freemana i innych rzucających tyle światła na rodowód i ukształtowanie się nowych społeczeństw; nic więc dziwnego, że czytelnik, oprócz nadzwyczaj szczegółowego przedstawienia wędrówek i losów różnych plemion germańskich, niewiele dowie się o ich społecznym ustroju, ale natomiast znajdzie wyliczenie wszystkich królów wandalskich. Podział na 4 okresy nie jest szczęśliwie pomyślany i opiera się na cechach zewnętrznych; daleko właściwszem byłoby przyjąć trzy epoki: I do śmierci Karola Wielkiego — t. j. proces wytwarzania się nowych społeczeństw, II — do 1,300 r. właściwe wieki średnie, rozkwit feudalizmu i władzy papieskiej i III — okres przełomu—upadku feudalizmu i wpływu papieży i wzrostu władzy monarchicznej.

Wogóle wykład jest czysto formalny, ale nawet z tego stanowiska nie wolny od pewnych zarzutów. Tak np. słowianie występują już kilkakrotnie, zanim czytelnik dowie się, kto oni byli, gdzie mieli swoje siedziby itp. P. Korzon szczęśliwie uniknął błędu historyków niemieckich, nawlekających wszystkie wypadki na jedną nić walki cesarstwa z papiestwem. Ale wpływ cywilizacyi arabskiej zaznaczony dosyć pobieżnie, o położeniu ludu, o wytworzeniu się klasy poddańczej, o ekonomicznem znaczeniu systematu feudalnego znajdujemy tylko same ogólniki, natomiast szczegółowo opisane, jak wyglądał Attyla albo inna ukoronowana osobistość, jakie spodnie nosił Jan Bez Ziemi itp. Rycerstwo przedstawia autor według tradycyjnego szablonu: honor, cześć dla dla dam itp. cnoty, wygląda to ładnie — w romansach, ale nie w historyi. Wpływ wojen krzyżowych, według p. Korzona, wyraził się w tem, że Wenecya, Genua i inne miasta włoskie „przewożąc krzyżowców nabudowały sobie dużo okrętów" i zawiązały stosunki handlowe z muzułmanami. Dlaczego jednak wskutek tego biorą się do handlu miasta we Flandryi i innych krajach, co wpływa na wzrost bogactw i pomnożenie potęgi mieszczaństwa—trudno zrozumieć.

Drugim skutkiem była praktyczna nauka geografii a stąd powstaje w Europie ruch umysłowy, (?) zakładają się szkoły i uniwersytety, budują wielkie i piękne gmachy (??) itd. Trzecim wreszcie i ostatnim wynikiem krucyat było wyrobienie szlachetnych uczuć, ponieważ krzyżowcy szli nie dla łupów, ale w zapale religijnym, Zrabowanie Konstantynopola, morderstwa bezbronnych muzułmanów i spotykanych po drodze żydów, kłótnie i wojny krzyżowców o zdobyte miasta, o łupy — zaiste piękne to czynniki wyrobienia wzniosłych uczuć.

Zgodnie z wymaganiami nauki osobistościom pojedynczym nie przyznaje p. Korzon przeważnego znaczenia, chociaż nieraz całkiem niepotrzebnie opisuje nawet zewnętrzny ich wygląd, a natomiast za mało zwraca uwagi na takich ludzi, którzy byli typowymi przedstawicielami pewnych prądów. Cesarz Fryderyk II, Filip Piękny i inni najzawziętsi przeciwnicy papiestwa uosabiają niejako wyzwalającą się z pod ucisku hierarchii myśl ludzką. Wady ich a nawet zbrodnie ze stanowiska historycznego są potężnymi dźwigniami przyszłego postępu cywilizacyi. Wogóle charakterystyka tej chwili dziejowego przełomu zarysowaną jest bardzo słabo, upadek władzy papieskiej nie umotywowany należycie, nieuwzględniony ani wpływ uniwersytetów i nauki, ani wewnętrzny rozstrój, ujawniający się np. w utworzeniu sekty spirytualistów, w radykalnej opozycyi zakonu franciszkanów itp. O zepsuciu duchowieństwa, o skutkach celibatu — ani słowa. Dzieje sekt bogumiłów, albigensów i in. traktowane co najmniej dziwnie; autor przytacza tylko niektóre zewnętrzne ich cechy, nie mówiac ani słowa o racyonalizmie, który był ich głównem znamieniem. Nie można jednak powiedzieć, żeby p. Korzon stał na stanowisku klerykalnem; owszem, jak na nasze stosunki historya jego jest dosyć bezstronną i kto wie nawet, czy *Przegląd katolicki* nie zaliczy go do odszczepieńców i gorszycieli.

Niepodobieństwem jest wyliczyć wszystkie drobniejsze usterki, których zresztą znaczną część położyć należy na karb nieuwagi. Oto przykład. O Henryku III niemieckim autor powiada: „pierwszy cios zadał mu król polski Bolesław Śmiały, wypędzając Salomona i wprowadzając na tron węgierski przyjaciela swego Belę. Henryk przedsięwziął wyprawę w obronie swego wasala, lecz doznał niepowodzenia." Czytelnik, który wie, że Henryk umarł w r. 1056 (str. 116), dowiaduje się później, że Bolesław został królem polskim dopiero w dwa lata po śmierci cesarza (1058), a Bela panował od 1061 do 1063 i wstąpił nie po Salomonie, lecz po Andrzeju — 1046 do 1061 (str. 161)... Jak to pogodzić? Przykładów takich znalazłoby się więcej. Są jednak i prawdziwe błędy, jak np. zaliczenie plemion fińskich i tureckich do rasy *żółtej* (zapewne mongolskiej), oznaczenie Siedmiogrodu jako kolebki narodowości rumuńskiej, wyprowadzenie genezy parlamentów z zebrań ludowych i inne. Usterek drobnych wprawdzie, ale niemniej rażących znajdujemy, rzecz dziwna, najwięcej w historyi Polski i Rusi. Tak np. według p. Korzona Rognieda, żona Włodzimierza ś-go, była nie córką, lecz żoną ks. połockiego Rogwołoda, Świętopełk I był jego synem, kiedy w rzeczywistości był synem starszego brata Jaropełka, Jarosława nazywa najmłodszym z synów Włodzimierza, podczas gdy każdy uczeń obeznany z podręcznikiem Iłowajskiego wyliczy jeszcze młodszych Światosława, Borysa, Hleba, Sudisława, Mścisława tmutorokańskiego, a było ich oprócz tych — innych kilku. Zbigniew Oleśnicki nie mógł „zabronić" Jagielle przyjąć koronę od husytów, bo wtedy jeszcze był nieznaczną osobistością i wpływ jego datuje się dopiero od upadku polityki czeskiej. Podole nie było dane Witoldowi przez polaków, ale on sam je zajął wypędziwszy Koryntowiczów i sam nadał zachodnią część jego prawem lennem Spytkowi z Melsztyna.

Niefortunne wyrażenia spotykają się często. Mówiąc o wzajemnych wojnach, niszczących dobytek wieśniaków, autor dodaje: „Ludwik ś-ty, *szanując prawa* każdego ze swoich poddanych, nie zakazał tych wojen bezwarunkowo" (str. 201). Przy zdobyciu Jerozolimy w świątyni Salomona „krew sięgała do kolan rycerzom, a do wędzideł koniom," widocznie więc albo rycerze byli olbrzymami, albo jeździli na maleńkich kucykach (175). Mahometaninem jest każdy

człowiek, kto wymówi te słowa: „Nie masz Boga nad Boga, a Mahomet jego prorokiem“ (str. 73).

Pomimo tych drobnych usterek, których część tylko wymieniliśmy, pomimo jednostronnego pojęcia rzeczy, historya p. Korzona jest kompilacyą sumienną i nader pożyteczną. Właściwą jest ona jednak tylko jako podręcznik dla nauczyciela. Przeładowanie faktami uniemożliwia użycie jej do nauki młodzieży, dla czytania zaś w domu jest za mało zajmującą i za suchą.

*W—o.*

II.

Dr. K. Filipowicz **Wiadomości początkowe z botaniki**. Warszawa. Książka wydana z zapomogi Kasy Mianowskiego.

Książka ta jest podręcznikiem botaniki dla... nauczycieli, opracowanym według Le Masuta *Leçons élémentaires de botanique*, a przeznaczonym dla dzieci. To przeznaczenie *Wiadomości początkowych* kładzie główną wagę na metodę ich wykładu. Jakąż wybrał autor? „Chodziło mu o zbadanie na danej roślinie, za typ wziętej, jednego tylko najczęściej narzędzia, którego budowa najbardziej się w niej uwydatnia.“ Z zamiaru tego wywiązał się autor bardzo szczęśliwie, o ile miał na względzie... nauczyciela. Dla dzieci bowiem wykład jego jest nieco za naukowy, za suchy—czysto morfologiczny. Potrzeba działania na zwykłą ciekawość młodych umysłów, przyprawiania im pokarmu naukowego sosami ponętnymi, jest nieraz obowiązkiem kłopotliwym w... botanice, ale nieuniknionym w... pedagogice. Dr. Filipowicz opisuje na okazach typowych budowę pojedynczych organów bardzo umiejętnie, w końcu, uogólniając wiadomości szczegółowe, dołącza krótką i ogólną fizyologię roślin, ale czy dziecko od lat 10—12 (i o takich myślał) nie znuży się, czy ma nie za mało punktów, o których by swą pamięć zaczepić mogło? Autor uczy—ale młodocianego umysłu nie zajmuje. To też sądzimy, że jego praca pozostanie pożyteczniejszą dla drugiej kategoryi czytelników — dla „osób mniej wykształconych.“

Ze wszystkich nauk przyrodniczych najmniej u nas wkorzenia się w głowy botanika—właśnie z powodu suchości jej wykładu w podręcznikach. Powtarzamy: przykra to rzecz strzedz się „suchości“ w nauce, ale cóż zrobić z człowiekiem, gdy on jej nie znosi.

*G.*

---

# PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

J. I. Kraszewski **Bez serca.** Obrazy naszych czasów. Tomów 3, Warszawa.

Typ kobiety - czarodziejki, prościej — zalotnicy, rozporządzającej całym arsenałem środków podbijania serc, należy do ulubionych postaci Kraszewskiego. Dość wspomnieć *Sfinksa*, *Piękną panią* i wiele innych jego utworów. W pociągu mężczyzny do takiej kobiety widzi autor nieprzepartość, fatalizm jakiś, co gorsza, czuje nawet wiarę pewną jego samego w niemożność rozwiązania tej zagadki. Tymczasem rzecz się wyjaśni, gdy pomyślimy, iż cała demoniczność wdzięków arystokratek zasadza się na poziomie umysłowo-moralnym ich czcicieli. Jeśli to są mężczyźni z wyżyn społecznych, przytem syci tryumfów miłosnych, to pomimo całej ciasnoty swych głów znać się muszą na naturze broni zaczepnej, używanej przez piękne panie. Skuteczność więc jej w potędze, przyznawanej przez autora, staje się mocno wątpliwą. Jak zaś zobaczymy niżej, pod działaniem twarzy klasycznej, mieniącej się co chwila innem, sztucznem uczuciem, najwięcej ofiar pada właśnie śród mężczyzn tej sfery. Pociąg do kobiety, a tem bardziej „czarująco“ pięknej, jest rzeczą naturalną, i zdarzyć się może, iż nawet ludzie z innej klasy, spojrzawszy na nią, zawrotu głowy doznają i w prostocie ducha uwierzą w szczerość dostrzeżonego uczucia. Nigdy jednak, przy dzisiejszem zdemokratyzowaniu się, nie ulegną tak dalece, żeby aż mieli wpadać w osłupienie i ze szkodą godności osobistej, jak maneкiny, niewolniczo iść za pierwszą lepszą księżną, hrabiną i baronową. Namiętność zwierzęca, zażegnięta ich wdziękami, raz ostrzeżona przez rozum o ich niedostępności, prędkoby się skierowała dokądindziej, gdzie łatwiej mogłaby być zaspokojoną. Marzenia zaś, wywołane sztuczną poezyą twarzyczki, także pod działaniem rozsądku, rychłoby się rozproszyły, zostawiając po sobie pamięć kobiety niewykształconej i częstym napadom histerycznym ulegającej, a jeszcze lepiej—zalotnicy, w salonach wytresowanej.

Gdzież więc zagadkowość, sfinksowość, demoniczność? Czem one są, czyje głowy wyobrażenia te wypracowały i porozsiewały po świecie? Nie arystokraty, wystygłego z przeżycia się—szczwany to lis, sztuczność dla niego chlebem powszednim. Nie biurokraty przebiegłego, szyderczo przyjmującego wszystko, tem mniej mieszczanina, spoglądającego na zaczarowane i mitrami świecące szczyty społeczne, lub nawet tęskniącego do nich. Zdaje się więc, jakby wyobrażenia te były spuścizną po romantyzmem owianych i niedoświadczonych młodzieńcach, co może doli Wertera lub Gustawa doznali. Dziś możnaby posądzić jeszcze o autorstwo podobnych poglądów na kobiety czarujące „młodzież złotą,“ gdyby nie powszechnie stwierdzany fakt ich podbojów, dokonywanych codzień w świecie kinkietów i po szwalniach...

Najmniej już chyba możnaby o ten zaszczyt pomówić cały kierunek umysłowy dzisiejszy. Ten — to już wprost daje klucz do rozwiązania (nieistniejącej dlań) zagadki. Fizyologia, psychologia, dowiedziona zależność cech duchowo-cielesnych od otoczenia, głębsze zrozumienie układu społecznego, nieubłagany pęd myśli do porównywania wszystkiego, dającego w ostatnim wyniku względność—oto ów klucz.

Kraszewski tymczasem, obok niezaprzeczonych zalet w innych swych powieściach, w tych, gdzie kształtuje typy kobiet pięknych, lecz z uczuć wyzutych i zręcznie zalotnych, tak postępuje, jakby chciał zdawkowe grzecznostki uważać za podstawę realną, osnuwając na niej zawile i poważne stosunki życiowe. Bierze złudzenie chwilowe i dobrowolne mężczyzny a zamiast, jak na dzisiejszy wiek przystało, krytycznie i z ironią je traktować, sam w nie wierzy.

To samo rzuca się w oczy i w najnowszej powieści jego p. t. *Bez serca*.

Mamy tu pannę czarnooką i czarnowłosą, o twarzy klasycznych rysów, postawie wdzięku odurzającego. Jedynaczka to niezamożnego, wysłużonego już pułkownika austryackiego. Ojciec, słabych sił umysłowych i moralnych człowiek, zamiast wychowywać, rozpieszczał swą córkę, jawnie okazując jej, że ona jest ósmym cudem świata. Wyrosła więc na pannę, studyującą wdzięki swe w zwierciedle, romanse roiły się w jej główce od najwcześniejszych lat. Jakiś hrabicz polski, studentem jeszcze będąc, wysłuchiwał od niej wyznania miłosne, całusy na buziaku wyciskając. Pannie się zdawało wtedy, że *ma serce*. Później życie w roskosznym dla bogaczów lub kupczących godnością osobistą i wstydem Wiedniu rozbudziło i rozwinęło w niej do potworności świadomość powabów własnych. Próżnia w głowie i sercu, roskosz, wynikająca z poczucia, iż, gdzie się obróci tylko, jest pożeraną wzrokiem, wystawianie zatem siebie po teatrach, koncertach, spacerach, żądza strojów, coraz lepiej uwydatniających wdzięki, wykwintu, pchają do wdzierania się na szczyt społeczny. Rozwija całą zręczność i przebiegłość kobiecą, żeby się tam dostać, udaje naiwną, nierozbudzoną jeszcze dzieweczkę; jakaś księżna, dyletantka w artyzmie, spotyka ją i, oczarowana wdziękiem pełnym naiwności, wprowadza na salony swoje. Teatr amatorski, występ z księżną—gromadzą koło niej tłum wielbicieli, hrabiów, baronów, książąt, bankierów, dyplomatów, artystów. Bliska już marzeń swoich: stosunki rosną, wstęp do coraz innych salonów staje się łatwiejszym. Śmierć ojca, wywołana przez nią samą skutkiem utarczki o wydalenie z domu siostry swej z nieprawego łoża, jasnowłosej dzieweczki, zmusza pannę czarującą do stanowczego wyboru w czcicielach. Każda narodowość niemal liczy swych przedstawicieli w ich kole. Spotkać tam można czułostkowego marzyciela, syna bankierskiego, barona-francuza, gołowąsego księcia, rumieniącego się co chwila, oszusta, udającego amerykanina-milionera, bawiącego niby dla misyi dyplomatycznej w Wiedniu, hrabiego-włocha, co jeden z całej tej zgrai zdaje się przenikać na wylot zalotnicę i z ojcowską opieką się nastręcza. Żądza wdarcia się w świat mitr i koron hrabiowskich, podniecana poczuciem siły wdzięków, wciąż w sercu bohaterki rośnie. Amerykanin popędami zwierzęcymi wstręt w niej budzi, lecz pamięć na miliony skłania ją do oddania mu ręki. Ścigany później listami gończymi, tuła się po stolicach wszystkich, zmieniając wciąż nazwiska. Panna tymczasem łapie we Włoszech bogatego potomka książąt gruzińskich, oczarowywa go całą gamą miękkich, lecz udanych uczuć, wychodzi zań i staje nareszcie na upragnionym *szczycie społecznym*. Miesiące miodowe się skracają, bo małżonek zajrzał pod maskę i poznał zalotnicę o pięknem ciele—*bez serca*. Następują, naturalnie, sceny domowe, piękna pani, na przekór mężowi, otacza się gronem przyjaciół-wielbicieli dawnych, mąż szyderstwa nie skąpi. Ktoś mu podsuwa w czasie balu złowrogi wycinek z dziennika, książe przerażony tem, iż żona mogłaby być wplątaną do sprawy kryminalnej dawnego swego narzeczonego, amerykanina-oszusta już, nie milionera, w charakterze świadka, rad, że ten obrót rzeczy plany jej popsuje, pod pozorem dbałości o honor domu wyjeżdża z nią do dóbr swych krymskich.

Oto cały wątek powieści.

Autor, jakby dla bliższego określenia, nazwał ją *obrazami naszych czasów*. Zgoda na to, ale pod warunkiem, że nie *obrazami* je zwać trzeba, lecz *szkicami*, ręką idealisty rzuconymi na papier. Typ panny pięknej, wychowanej błędnie i w drodze do bogatego zamążpójścia otaczającej się hołdownikami, marzycielsko w powieści, zmysłowo zaś w rzeczywistości spoglądających na nią, zaprzeczeniu nie podlega, ale kreślony jest nie realnie. Tło jednostajne, niezabarwione sprzecznościami społecznemi, charakterystyka z powodu nadmiernego i wykwintnego spokoju artystycznego dla czytelnika z naszych, walką napiętnowanych czasów, bladą się wydaje.

*Zygmunt Komar.*

**Juliusza Słowackiego Złote myśli**, zebrane przez S... Lwów, nakładem autora, 1885, str. 141 w 8-ce m.

Książeczka ta, ozdobnie wydana, składa się z dwóch części: z przedmowy autora pełnej dziwactw, mistycznych uniesień i nadpowietrznych bujań w krainach ideału, tudzież z wykrawków dowolnie, bez znajomości rzeczy zebranych i źle ułożonych. Przedmowa trąci heglizmem i manierą Cybulskiego. Oto jej początek. „Jakie dziwne, tajemnicze i *wzniosłe* (?) uczucie musi mieć umierający poeta!..“ Przedstawmy więc sobie poetę leżącego w łóżku: „Ukochane mary ideały tłoczą się do niego, *wszystkie naraz* stają przed nim i *grają* mu przed oczyma

dramat jego." Najpierwsza z tych mar odsuwa poetę i mówi: Odejdźcie! Odepchnięte widma odwracają się. Przystępują inne. „Każd*en* z tych duchów ma swoją zbroję i własne hasło, one kiedyś żyły, umarły i zostały wskrzeszone. Poeta na nie patrzy i myśli jeszcze *nad nimi*, ustawia je w szeregach i żegna z uśmiechem. Potem przychodzą ostatnie, najjaśniejsze, najdoskonalsze. Dla nich są spokojne uderzenia serca, które zna swe zadosyćuczynienie przeznaczeniu i ducha odlatującego błogosławieństwo (?). Drżąca ręka konającego gorączkowo spoczywa na ostatniej z tych idealnych postaci, chwiejna drapuje jej szatę..." Czy rozumiecie cóś z tego? Ja — nic. Ale to dopiero jedna strona autora, mistycyzm. Przypatrzmy się jego wykształceniu. Za wstęp do *Złotych myśli* Słowackiego służą ogólne „idealne" poglądy na wszystkich „wieszczów" Europy. Goethego widocznie nie lubi p. S. „Goethe jest idealny materyalista (?), popada w trywialność" (proszę!), „nie był patryotą" (!), za to „Schiller jest wielkim *aniołem* (?) — Goethe wielkim *duchem tylko*" (!) Schiller i Shakespeare mają „przeczucia przyszłości," a Goethe — nie. Wielka szkoda. J. Słowacki „przeczuwa przyszłość" dlatego jest geniuszem. Autor lubuje się w dociekaniach tego rodzaju: „Cóżby Goethe powiedział, gdyby przed nim stanął np. Anhelli?" Coby Goethe zrobił? Ciekawe pytanie, nie prawda. Ale posłuchajcie jeszcze ciekawszej na to odpowiedzi: Goethe rzekłby do niego: „Ja cię nie znam. Czego chcesz? (ostro!). Anhelli zacząłby mu wtedy tłomaczyć, że cierpi za wielu. Ale Goethe by nie słuchał *i do połowy*" itd. Jeszcze dalej sięga anonym, zastanawiając się głęboko nad tem, jakby wyglądał Hamlet, gdyby w nim Shakespeare przeczuł był w zupełności człowieka XIX w., ale te argumentacye *de lana caprina* zajmują zbyt wiele miejsca (od str. 16—21), a nie chcę zabierać czytelnikowi tyle drogiego czasu nadaremnie. Byron pisał na pół bezbożne rzeczy. „Byłoby większą zasługą w gnieździe cierniowem przecierpieć i czekać na spełnienie rzeczy, o których się ziemskim filozofom nie śniło," niż pisać wiersze. Dobra rada! Cała przedmowa trzymana w tonie górnym, „idealnym," tylko czasem ci niegodni materyaliści podstawiają jej nogę i ona ten duch biały ze skrzydłami wlokącymi się za nią, z czołem zadumanem w tajemnicach, z sercem pełnem ofiary i rozmarzonem o przyszłych dniach — potyka się o najprostsze zasady gramatyki i logiki (twierdząc np., że „słońce przyciąga"). Posłuchajmy więc zdania autora o „literaturze narodowej." Oto np. rozwój psychologiczno-literacki twórczości poetyckiej Słowackiego: „Z początkiem działalności poety wszystko w jego poezyi jest czynem, rzeczą doraźną, rwącą się działalnością, myślą objawioną, widomym postępkiem — im dojrzalszym był i rozum i doświadczenie jego, tem w dziełach jego więcej działa wewnętrzny duch rzeczy, tem silniejszym jest wpływ zestawionych przyczyn i skutków, wpływ mającego moc nad wszystkiem ducha." Bądźże z tego rozumnym... Sądy estetyczne tak zaciemnione mgłą metafizyki niemieckiej zabarwia różowo źle zrozumiana miłość ojczyzny: „Monolog Kordyana, pełen szlachetności o całą miłość ojczyzny silniejszy jest od monologu Hamleta." Kordyan jest „bohaterem, przy którym *blade* mary *Werterów i Korsarzy zdają się* ludźmi skrzywionymi" itp. Pod koniec życia, kiedy poeta pogrążał się coraz więcej w mistycyzm, staje się w oczach autora „wielkim mężem stanu i politykiem, człowiekiem rozumnym" doświadczeniem i znajomością rzeczy narodowych! Pisma pośmiertne Słowackiego nic tu nie znaczą.

Tej przydłuższej przemowie odpowiada godnie zbiór wydartych z całości i poćwiertowanych myśli i uwag poety, dokonany bez żadnej metody, nieraz nawet bez porządku chronologicznego. Znajdziesz tu następujące „genialne zdania:" „Trzeba wiary!" i basta (str. 64), albo „Miejcie wiarę! Miejcie wiarę!" (sic. bis. p. 129). Do *oryginalnych* myśli Słowackiego zaliczono parafrazę z Kartezyusza: „Myślę więc żyję" (73). Do *złotych* należą następujące: „Wątpienie z dyabła jest!" (83), albo „Człowieku! niech cię Bóg broni, abyś zwątpił o proroctwie" (str. 94).

„O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza,
O doświadczenie! jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów Tyś!.
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku" itd.

Nie rzadko w tej książce o sprzeczności tego rodzaju: „Bądźmy jak męże co walczą i mszczą się" (str. 79, a zaraz na drugiej): „Twarz schylona lepiej dziś przystoi, niż stal na piersi i skrzydła ze zbroi" (80). Inne sprzeczności zaznaczę tylko (str. 46, 103 i 100). Nie brak i kłamstw historycznych jak np. owa jednomyślność naszych ojców, kiedy to „wola jednego obywatela uszanowaną była przez wszystkich" (120).

Końcowe wyjątki z pism mesyańskich Słowackiego, znane teorye spirytystyczne o genezie z ducha i rewelatorstwie uważa autor za „złote i potrzebne *na dziś* do rozświecenia niejakiego cienia." W tych majaczeniach ducha widać wielkie pokrewieństwo wydawcy z poetą. Zdanie to charakteryzuje najlepiej ukrywającego się autora, a spodziewam się, że będzie ono i w jego oczach prawdziwem uznaniem, być na duchu bowiem pokrewnym z poetą mistycznym, to dla wydawcy najwyższa pochwała.

*Z.*

---

# LIBERUM VETO.

Cztery wielkie nowiny.—Dobrodziejstwa drugiego wydania. — Jedyny smutek, który da się usunąć w trzeciem. — Zakład pozostawiony do rozstrzygnięcia przyszłości. — Mój sromotny nagrobek. Śmierć wielkiego artysty w nędzy. — Mary jego życia. — List Munkacsego. — Trudna odpowiedź. — Losowanie posad kolei dęblińsko-dąbrowskiej. — Powszechne schronisko. — Najmniej zniechęcające ostrzeżenie. — Byli i niebyli.

Nic a nic nie wiedziałem, a jednak są to może najważniejsze fakty obecnej chwili:

1) „Helena nie zjawia się na zawołanie w Toporowie, jest w Zamościu z panią kasztelanową sandomierską;" 2) „losy jej i Rzędziana od rozstania z towarzyszami są opowiedziane;" 3) „wesele zostało gdzieś za kulisami; Skrzetuski siada na konia, żeby jechać do Heleny, kiedy w Toporowie zjawiają się przyjaciele, wolni od służby, skoro w Zborowie stanął już układ z nieprzyjacielem; Helenę spotykają gdzieś w drodze;" 4) „I o Bohunie jest więcej."

Gdy w Atenach ktoś wyrzekł: „Ojcze Zeusie, doprawdy i tobie podobają się złudzenia fałszu" — to każdy ukształcony grek wiedział, że jest to wiersz z Iliady. I moi więc czytelnicy zrozumieli zapewne odrazu, że cztery doniosłe fakty są czterema zmianami, jakie nasz Homer (pomnożony przez Dantego, Shakespeare'a, Mickiewicza itd.) zrobił w drugiem wydaniu swej epopei *Ogniem i mieczem*, którą p. S. T(arnowski) nazywa już w *Czasie* nieco skromniej: „powieścią najpiękniejszą, najwyższą, najlepszą *ze wszystkich, jakie nam dotąd są znane.*" Szanowny hrabia-profesor, ogłaszający światu cztery powyższe nowiny, ma wszakże jedno zmartwienie, które musimy z nim podzielić. Mianowicie, spodziewał on się, że Skrzetuski, któremu książe darował Bohuna, jako jeńca, powie zuchwałemu kozakowi „takie prawdy, po których Bohun albo będzie żałował tego, co dotąd zrobił, albo upokorzony tą szlachetnością, zazdrosny, że jej dorównać nie może, zacieknie się w złem uparcie" itd. Tymczasem „tej rozmowy niema" — stąd smutek, który ciążyć będzie na naszem sercu aż do trzeciego wydania — co daj Boże Amen. Nie sądzę bowiem, ażeby p. Sienkiewicz nie zrobił tej grzeczności p. Tarnowskiemu, któremu zawdzięcza hrabiowską koronę w powieściopisarstwie całego świata. Co mówię — hrabiowską? Autor powieści „najpiękniejszej, najwyższej, najlepszej ze wszystkich, jakie nam dotąd są znane" piastuje też godność najwyższą, o której marzyć nie śmieli nawet Balzaki, Dickensy, a cóż dopiero jacyś tam Rzewuscy i Korzeniowscy. W każdym razie nasi potomkowie będą mieli z kogo i z czego się śmiać. Bo przez to wzniesienie p. Sienkiewicza na tron powieściopisarski między hr. Tarnowskim i „zadrośnikami" stanął pewnego rodzaju zakład, który przyszłość rozstrzygnie i zdecyduje: czy po jednej stronie była przesada w koteryjnej chwalbie, amerykańska reklama, durzenie i gwałcenie opinii, czy też po drugiej zawiść i tendencya „umniejszenia wartości." Ponieważ wmieszałem się także do tego krytycznego totalizatora i trzymam przeciw hr. Tarnowskiemu, więc i mnie obchodzi ów wyrok przyszłości. Pomimo zaś czterech ważnych zmian, popioły moje czekać go będą spokojnie, zwłaszcza, że dotąd Skrzetuski nie rozmówił się z Bohunem i nie wyciął mu *verba veritatis*. A na miłosierdzie boskie, niechże się raz rozmówi i niech mu „powie takie prawdy, po których" itd. Jest to niezbędnem dla rozstrzygnięcia owego zakładu, który po części zahaczył się na tem, że jedni wierzą w rozum Skrzetuskiego, a inni bardzo o nim wątpią. Do ostatnich należę i ja, a ponieważ wcale nie życzę sobie, ażeby moje prochy były wyjęte z grobu i rozsypane na cztery wiatry, więc chciałbym przed śmiercią posłuchać Skrzetuskiego, a może bym o nim zdanie zmienił. Bo jeżeli na moim nadgrobku będzie wyryty napis: „tu leży bluźnierca, który nie wierzył, że *Ogniem i mieczem* jest „najpiękniejszą, najwyższą i najlepszą powieścią," — samo to już na potępienie mnie wystarczy, a dodatek: „i który wątpił o rozumie Skrzetuskiego" przekroczyłby granice kary, możliwej do wycierpienia przez jedną duszę ludzką w piekle.

Kiedyś Paryż był również przekonany, że sztychy Redlicha są „najpiękniejsze, najwyższe, najlepsze" i nagrodził go za nie złotym medalem. I Warszawa, ceniąc znakomitego artystę, posadziła go raz na obiedzie dla Matejki w Resursie kupieckiej obok krakowskiego mistrza. Od czasu do czasu wreszcie przydawano mu w *Kuryerach* zaszczytne przydomki: „nasz," „znany," „pełen wyrazu" itp. Ani wszakże medal złoty, ani honorowe krzesło, ani tytuły nie dały Redlichowi chleba. Goniąc ten chleb, uciekł z Warszawy do Paryża, stamtąd do Berlina, gdzie złamawszy rękę przy wysiadaniu z wagonu, tę rękę, która stworzyła tyle arcydzieł, umarł w nędzy. Dziś już jej widmo rzadko nawiedza ludzi utalentowanych. Trzebaż było nieszczęścia, ażeby na nas spadł cień doli człowieka, który powinien być naszą dumą. Podczas gdy panna Giuri zarabia 800 rs. miesięcznie, Redlich umiera jak żebrak — proszę przy porównaniu tych dwu widoków zachować na twarzy uśmiech zadowolenia z najlepszego śród światów. Ja — nie mogę. Tego rodzaju wypadki wsączają mi w umysł kroplę, która go zaprawia goryczą na długo. I czy tak wielki artysta nie mógł się utrzymać między nami? Był za dumnym. Są ludzie, którzy mówią sobie tak: zegnę się, spłaszczę, stopy możnych polizę, ręce ich ucałuję, łatwowiernych odurzę, głupich olśnię — a gdy ci wszyscy dźwigną mnie swemi ramionami, na głowach im stanę a oni muszą mnie w tej wysokości trzymać, bo sami wynieśli. Są in-

ni, którzy rozumują: tkwi we mnie geniusz, który prędzej czy później wszyscy uznają, wtedy sami przyjdą i hołd mi złożą; to jest moje prawo a ich obowiązek. Ci, co tak sądzą, nieraz zyskują sławę za życia, zwykle — po śmierci, a często umierają w nędzy. Należał do nich Redlich. Nie przytulił się pod skrzydła żadnego hrabiego (nie był ani pachciarzem, ani faktorem), nie zawiązywał przy śniadaniu węzełków na chustkach reporterom, nie zawiadamiał *Kuryerów* o zamiarach, z którymi „nosił się," nie układał żywych obrazów — cały los zawiesił na swym rylcu — i sądził naiwny, że zostanie nieśmiertelnym, że będzie miał co jeść. Zginął, bo nie umiał dobrze rachować, spekulować, chociaż był żydem, niewyłuskanym jeszcze ze starozakonnej łupiny. Rzecz dziwna, tak grubo pomylić się w sądzeniu warunków życia i tak przeniewierzyć się „instynktom" własnej rasy!

No... i umarł, umarł z nędzy jeden z najwspanialszych talentów naszego artyzmu w sile wieku. Na ustach jego zastygł szyderczy wyraz niechęci do świata, z którym się rozstał. Przed gasnącym wzrokiem biednego artysty stanęły złudne mary sławy, rozczarowań, ubóstwa i niewdzięczności a w jednej z tych mar rozpoznał rysy genialnego mistrza, którego obrazy rylcem odtwarzał, a który niepomny tego ze świątyni sztuki wygnał—żydów. Trzeba zdjąć z twarzy Redlicha pośmiertną maskę i umieścić ją jako ilustracyę do znanych słów Matejki, który w artystycznych porywach polskich izraelitów widział przedewszystkiem handel. Nie powinno być zapomnianem, że najznakomitszy dziś pomiędzy nimi umarł w nędzy.

Zauważyłem kilkakrotnie, że moja cześć dla olbrzyma krakowskiego tam się kończy, gdzie on zaczyna mówić. Wiadomo czytelnikom, że znowu przy tegorocznem otwarciu Akademii wytłomaczył on chorobę umysłową kilku swoich zagranicznych kolegów—brakiem wiary. Zwaryowali, bo nie wierzyli—taka jest najnowsza z jego prawd, nieprzypominających geniuszu, który tyle nieśmiertelnych dzieł stworzył. Makart umarł — więc odeprzeć tego wniosku nie mógł, ale na nieszczęście Munkacsy żyje i o wystawionem mu świadectwie dowiedział się. Napisał więc do Matejki:

„Szanowny panie i kolego! Nie mam zwyczaju brać na seryo fałszywych pogłosek, rozpowszechnianych przez prasę; totеž pozwoliłem bujać swobodnie po przestworzach wszystkim najrozmaitszego gatunku kaczkom, głoszącym nekrolog mojego stanu umysłowego, utraconego rozsądku i niepokojami nurtowanej duszy! Ale jeśli nie przywiązuję wagi do fantastycznych nowinek dziennikarskich, nie znaczy to, abym lekceważył słowa, wypowiedziane z katedry przez akademika i kolegę, dla którego żywię szacunek. Wolę przeto mniemać, iż czasopismo, którego wycinek dołączam, przeobraziło myśl waszą i nie wątpię, że w interesie własnym zechcesz pan odwołać słowa, które panu podsunięto. W każdym razie, licząc na łaskawą odpowiedź, miło mi, w pełni moich władz umysłowych, wyrazić panu mój zachwyt dla jego pięknego talentu i zapewnienie najprzychylniejszych uczuć, z jakiemi pozostaję *M. Munkacsy.*"

Dotąd Matejko na ten list nie odpowiedział, a chociaż *Kuryer warszawski* ma nadzieję, że „nie będzie dłużej zwłóczył udzielenia wyjaśnienia tak wybitnej dziś w świecie osobistości," zdaje mi się, że mistrz krakowski da pokój wszelkim „wyjaśnieniom." Bo co tu odpisać? Publicznie uznałem człowieka waryatem, postawiłem nawet dyagnozę jego choroby (brak wiary), naraz ten człowiek zwraca się do mnie i prosi o zaprzeczenie temu wszystkiemu, a dodać potrzeba, że ten człowiek jest znakomitością europejską. Powinienem go przeprosić, ale kiedy on „nie ma wiary," a kto nie ma wiary, musi być obłąkanym, więc... Nie pozostaje nic innego, tylko bez obserwacyi lekarskiej osadzić Munkacsego w szpitalu. Jedyny sposób rozcięcia węzła—wprawdzie czysto krakowski, ale usuwający potrzebę odpisu na list.

Albo to jeden Munkacsy musi się tem zadowolić. Ile to pokornych próśb zanieśli synowie nadziei do zarządu kolei dęblińsko-dąbrowskiej i nie otrzymali żadnej odpowiedzi! Nastąpił wreszcie rozdział posad, który zawiódł oczekiwania setek kandydatów, ale przynajmniej zakończył ich dręczącą niepewność. Już wreszcie wiadomo, kto jaki urząd dostał. Biły też serca biły w dzień ciągnienia tej loteryi! Bo to nie sądownictwo, nie administracya, nie zakłady techniczne, gdzie potrzeba szczególnych i nieraz bardzo szczególnych uzdolnień: to schronisko dla ludzi wszelakiego gatunku, a przedewszystkiem pragnących się gdziekolwiek „zaczepić" a niezaczepionych nigdzie. Droga żelazna jest to instytucya, o której marzyć będziesz zarówno ty czytelniku, gdy stracisz majątek lub urząd, jak i ja, gdy... Logika rzeczy bardzo prosta. Pewnego dnia ktoś z nas zostaje „swobodnym;" ma w jednej kieszeni zapas na miesiąc, w drugiej dyplomy, w głowie taką lub inną wiedzę, a przytem czuje chęć do pracy, silnie rosnącą na widok drobnych dzieci; tu drzwi zamknięte, tam zamknięte, i w zarządzie kolei zamknięte, ale przynajmniej na nich takie tylko widzisz ostrzeżenie: „prośby o posadę nie przyjmują się." Oddychasz, bo tojeszcze mur do przebicia; naciskasz więc klamkę, wchodzisz do p. dyrektora i z najbezwstydniejszą w świecie miną, jak gdybyś nie czytał ostrzeżenia, mówisz: proszę pana o jakąkolwiek posadę. Ton majorowy miesza się z minorowym i często jako b. obywatel, b. naczelnik, b. astronom lub prawnik zostajesz kontrolerem lub referentem wydziału handlowego. Jeżeli zaś do tych *byłych*, których jest wielu, dodamy niebyłych niczem, których jest znacznie więcej, to pojmiemy, z ilu to piersi wyrywa się tęsknota do kolei. Rozumie się na wielu zawiedzionych losowanie ostatnie zwaliło ciężar smutku. Ale miejmy nadzieję, że któryś z patronów odbierających najliczniejsze modły, pp. Kronenberg lub Bloch zaszczepią nam znowu jakąś gałązkę kolejową i znowu serca nasze nadzieją bić zaczną. Tylko przypadkiem nie ulituj się czytelniku nad kimś, kto w loteryi dęblińsko-dąbrowskiej najmniejszego nie wyciągnął losu i nie powiedz mu: „Może byś pan spróbował założyć sklepik w Nieświeżu," bo usłyszysz: „Idź pan sobie do stu tysięcy...."

*Poseł Prawdy.*

# NA WIDNOKRĘGU.

Czarna Agata przy łóżku chłopa.—Dwie niemoce i ich rysy dramatyczne.—Parowiec i czółno.—Czyby...—Popłoch między ojcami mającymi córki na wydaniu w Mińsku.—Historya świętej zasady.—Faktor i dieńszczyk.—Łowy na oszustów w Radomskiem.—Komisya popisowa w Słucku.

Skargi dochodzące nas z prowincyi, mają tę dobrą stronę, że nie nadużywają pamięci naszej rozmaitością motywów: zawsze jest to utyskiwanie na... trudne warunki, koniokradztwo, ciemnotę, złe drogi, brak lekarzy itp. Ostatnia śpiewka dolatuje nas znowu z Lubelskiego, którego stolica musi znosić zaloty tylu synów Eskulapa, że zaczyna czuć obawę o swe zdrowie. Przybyło bowiem starać się o jej względy kilku nowych — podczas gdy miasteczka i wsie okoliczne pozostają w odwiecznej dzierżawie znahorek i znahorów—ludzi, będących przedmiotem szczególnego mojego podziwu. Proszę państwa nie śmiać się... Oto przy łóżku chłopa stoi znana w kilkumilowym promieniu „czarna Agata." Co choremu jest — nie wiem; ona powiada, że ma w gardle żabę, więc radzi mu: napić się odwaru goryczy, zwiesić głowę nad miską, w której znajduje się pająk i przykładać na brzuch płaty maczane w mleku krowy po pierwszem cielęciu. Przypuśćmy, że wszystko to razem warto tyle, co lekarstwo przepisane Spencerowi przez p. T. Jeske-Choińskiego (z tą naturalnie różnicą, że chłop odwary pije a Spencer mikstury warszawskiej nie zażywa) — czy ten obraz nie zawiera w sobie kilku rysów wzruszających — dramatycznych? Widzimy je naprzód w chorym, który albo niema za co sprowadzić sobie lekarza, albo nie umie ocenić jego wyższości umysłowej nad prostą babą i prawem swej ciemnoty skazany jest zwykle na śmierć, od której ratuje go tylko wiara w skuteczność cudacznych leków; widzimy je dalej w pomysłach znahorki, która prawem ciemnoty skazana jest na improwizacyę i brak nauki zastępuje fantastycznością. Tu jedna niemoc ratuje drugą, a my wyglądamy jak załoga parowca, która mijając na morzu gromadkę dzikich w drobnem czółenku, śmiejemy się z ich odwagi lub bolejemy nad nieuniknioną zgubą, widząc, że rozkołysane burzą fale przewrócą i zatopią łupinę. Po za tym dramatem wszakże, radbym wybadać „czarną Agatę," jakim sposobem zyskuje ona klientelę? Powodzeniem w leczeniu — wątpię, dziwaczności środków, zyskujących uznanie ludu — po części, ale skąd tak szerokie rozmiary praktyki? Nasuwa się tylko jedna odpowiedź na to pytanie: „czarna Agata" zna sferę, w której działa, umie ją dla siebie pozyskać, nie przygniata jej swojem stanowiskiem. Gdyby tę stronę jej umiejętności przyswoili sobie lekarze? Do uczuć obywatelskich rzadko dziś można odzywać się, nie załatwiwszy przedtem rachunku pieniężnego. Otóż, czy lekarz, umiejący zdobyć sobie zaufanie wieśniaków, wyparłby „czarną Agatę" i osiągnął z praktyki potrzebne dochody? Zdaje mi się, że tak. Kiedy odbyt zboża zatamował się, najpowszechniej zgodzono się na jeden środek ratunku — na powiększenie konsumcyi miejscowej, na rozszerzenie potrzeb żywiołów, które dotąd przyjmowały zbyt słaby udział. Czy taż sama reguła nie dałaby się zastosować do... medycyny? Lekarze utyskują, że współzawodnictwo między nimi jest utrudnione a brak praktyki coraz większy; może więc i tu należałoby rozszerzyć koło spożywców ich wiedzy po za warstwy ukształcone i ogarnąć niem lud, nad którym panują dotąd „czarne Agaty." Jest to tylko uwaga, z którą interesowani niech zrobią, co im się podoba.

Jednostajność motywów w skargach, o której wspomniałem na wstępie, urozmaicił nam Mińsk. Korespondent *Gazety polskiej*, donosząc o przeniesieniu zarządu kolei libawo-romeńskiej z tego miasta do Wilna, powiada, że ono dotknęło urzędników, właścicieli domów i... córek na wydaniu. „W Mińsku przedtem kawalerowie byli cenieni niemal na wagę, jeśli nie złota, to przynajmniej srebra... Jak wielki zaś popłoch zapanował na rynkach małżeńskich, można sądzić z tego, że gdy dotąd małżeństwa mieszane zdarzały się nader rzadko, dziś są na porządku dziennym, a wysoko i nisko postawieni ojcowie, rzucając swe córki w objęcia synów... przyjmują od nich i zgadzają się na wszelkie warunki." Historya również zna następujący proces: naprzód powna zasada występuje jako święta, potem—jako szanowna, potem—jako chwalebna, potem—jako potrzebna, potem—jako uciążliwa, potem idzie między zblakłe wspomnienia i stare graty, o których chętnie zapominamy, zwłaszcza mając... córki na wydaniu. Przykazanie zmienia się na skrupuł, a skrupuł na przesąd. Tak zwane względy praktyczne umieją naciągnąć skórę na takie kopyto, które daje najwygo-

dniejszy but do chodzenia po ziemi. Mińsk ulega ogólnym prawom rozwoju, opartego na względach praktycznych, więc co dziwnego, że jedno przeniesienie zarządu kolei tak zmieniło poglądy jego ojców?

Córki na wydaniu! Wszakże to dotąd kwestya i ważna kwestya, która w swojej szrubie może „świętą zasadę" wyprasować tak cienko, że z niej pozostanie tylko blaszka skrupułu lub przesądu. Gdy o niej słyszę, zawsze czuję dreszcz wstrętu. Albożto nie złagodzona postać handlu? Mam córkę na wydaniu — to znaczy: mam towar na sprzedaż. Kupi go człowiek uczciwy, swój— dobrze; nie ma takiego—niech bierze pierwszy lepszy: turek, tatar, zulus. Tak rozumuje idealizm. A bezwstydny pozytywizm radzi: wykształćcie kobietę, zróbcie z niej człowieka istniejącego o własnych siłach, włóżcie w jej głowę rozum, w ręce zawód— wtedy nie będzie potrzebowała być towarem, sprzedawać się lada komu. Moi kochani ojcowie z Mińska i nie z Mińska, dopóki byliści tylko nabywcami, mogliście trzymać się idealizmu, bo on wam zapewniał dostatniość na rynku i szeroki wybór towaru; ale dziś, będąc producentami, powinniście przynajmniej zalecić własnym dzieciom, ażeby poszły w innym kierunku i nie wychowywały swych córek w zależności od... zarządu kolei libawsko-romeńskiej.

W tymże Mińsku sądzono sprawę, która zasługuje na wyróżnienie. Z wojskowym W. pozostawał w ścisłych stosunkach faktor — żyd. Pewnego dnia zjawia on się w mieszkaniu oficera podczas jego nieobecności i żąda od „dieńszczyka" wydania mu talii kart dla pana. Żołnierz, nie podejrzywając podstępu, wydał. Ale nazajutrz przybywa faktor i domaga się 3 rs., grożąc w razie odmowy doniesieniem oficerowi, że jego służący biurko otwiera. Przestraszony „dieńszczyk" wykrada dlań pieniądze. Następnego dnia oszust żądał 5 rs. itd., tym sposobem wyciągnął około 100 rs., których ubytku oficer nie spostrzegł. Wreszcie pająk, osidławszy swą muchę, zapotrzebował odrazu 50 rs. Żołnierz odmówił i na klęczkach wyznał swemu panu całą winę, która go zaprowadziła na ławę kryminalną w sądzie okręgowym. Faktor dla braku dowodów uwolniony od odpowiedzialności stawał jako... świadek, którego jednak prokurator zaczepił z innej strony—mianowicie oskarżywszy go o krzywoprzysięstwo skutkiem sprzeczności w odpowiedziach. „Dieńszczyk" skazany został na dwa lata rot aresztanckich.

Głębiej przeciągnięto sieć sprawiedliwości w Radomiu, gdzie wydobyto dwie grube ryby oszustwa: Steinmana i Świerczewskiego, a wypuszczono niejakiego Sołowiewa. Dwaj ci rycerze przemysłu łapali nieświadomych na akcye kamsko-wołżskiego towarzystwa żeglugi parowej, które dawno upadło i którego papiery jeszcze przed 8 laty płacono po... 3 rs. (zamiast 250). Oszuści umieli tak bałamucić swoje ofiary, podsuwać im stare wykazy giełdowe, że kamsko-wołżskie towarzystwo aż do ostatnich czasów było świetnie notowane w Radomskiem, nie wiedząc naturalnie o swem pośmiertnem powodzeniu. Jego dobrowolni ajenci ciężko odpokutują swoje obroty— jeden przez $1\frac{1}{2}$ roku w rotach aresztanckich, a drugi przez 5 miesięcy w domu roboczym nabierać będą przekonania, że kamsko-wołżskie towarzystwo żeglugi parowej—to bardzo lichy interes.

Gdyby u nas sztuka rozwijała tę pomysłowość, co zbrodnia, zajęlibyśmy pierwsze miejsce w artyzmie całego świata. Bo czyż to nie wspaniała imaginacya? W Słucku— jak donosi *Zaria* — utworzyło się tajemne biuro uwalniania od wojska. Łapano popisowego gdziekolwiek — np. w Kijowie — tłomaczono mu, że stając w Słucku, będzie wolnym, wyrabiano mu fałszywe pozwolenie, na miejscu zaś stawiano w fałszywej komisyi, dawano białe lub czerwone bilety itd. W komisyi tej występowali mniemani urzędnicy, członkowie superewizyi — słowem cały potrzebny garnitur rewizyi wojskowej. Jak długo udawała się ta szacherka — jeszcze nie wiadomo, tego tylko musiałeś się już domyśleć czytelniku, że śledztwo w toku a ptaszki do klatki złapać się nie dały.

Z Łodzi rozbiegła się wieść o dowcipnem oszustwie, które... Ach, dosyć! Zaledwie tydzień temu cieszyłem się, że nie potrzebuję pisać o kradzieżach, oszustwach i tym podobnych ziarnach, z których się wypieka nasz chleb powszedni. Piękny to był tydzień!...

*A. C.*

---

**Płock.** Prezesem dyrekcyi Szczegółowej Tow. Kr. Ziems. wybrany został p. W. Bagieński.

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 13 listopada.*

O rezultacie wyborów do sejmu niemieckiego piszemy na innem miejscu. Jak dalece socyalno-demokraci przestali być *staatsgefährlich* i jak dalece nawet potężni mężowie stanu zdejmują chętnie czapki przed siłą, dowodzi półurzędowe oświadczenie w *Kölnische Zeitung*: „Socyalnych demokratów można było lekceważyć lub policyjnie prześladować, dopóki było ich kilka tysięcy, dopóki byli pomieszani z anarchistami i dynamitardami. Odkąd wszakże głosy ich liczą blisko miliona w gronie spokojnych obywateli i pilnych robotników, odtąd jest rzeczą pożądaną, aby znaleźli w parlamencie stosowną liczbę swoich przedstawicieli, aby współdziałali na drodze legalnej w pracach około reformy społecznej. Anarchistów należy zwalczać przez demokratów socyalnych, tym zaś ostatnim przyznać to wszystko, czego żądają, a co państwa nie osłabi i wywrotu nie spowoduje." To koziołek akrobatyczny!

Parlament niemiecki zwołany został na 20 b. m. — ciekawą będzie jego mina w tem odrodzeniu się.

*Nord. Allg. Ztng.* zapewnia, że wojska powstańcze zdobyły Chartum i mają w niewoli Gordona. Tymczasem rząd angielski domaga się kredytu w sumie 1.200,000 f. szt. na utrzymanie armii i floty w Egipcie. Wszyscy politycy prywatni drwią z niedołęstwa Gladstone'a w prowadzeniu spraw zewnętrznych, ale jednocześnie śród tej szyderczej wrzawy odzywają się głosy, że w uściskach angielskich Egipt ledwie dyszy i niedługo padnie zemdlony na łono John Bulla. Jeśli wszakże wiadomość organu kanclerskiego jest prawdziwą, żądany kredyt jeszcze się przyda.

Bill reformy wyborczej odrzucony przez Izbę lordów, ponownie przyjęty został przez Izbę gmin. Walka więc zapowiada się ostra, zwłaszcza, że rząd silnie atakuje mamutów społecznych, którzy sądzą, że rodzą się z ostrogami u pięt, a inni ludzie, z siodłami na grzbietach.

W ostatnich czasach zaczęto się pytać, czy Irlandya schowała miecz do pochwy? Na to pytanie odpowiedziała rewizya, dokonana u niejakiego Allena, u którego schwytano nici tajnego spisku p. n. „Mściciele Irlandyi."

Senat francuski przygotował krajowi gorzką niespodziankę. W chwili, gdy miał wyrzec wyrok śmierci na swą dożywotność, cofnął się i „pozostał przy starej lirze." We Francyi od pewnego czasu stało się zasadą w obozie nieprzejednanych: wszystkie głupstwa cudze zwalać na barki Ferrego. Więc i tu Ferry winien—a naturalnie i temu, że chińczycy nie chcą zakończyć wojny. Atakowali oni znowu francuzów pod Koelungiem, ale zostali odparci. Brzęczała po dziennikach pogłoska, że dzięki rozmaitym pośrednictwom zatarg ten kończy się, ale admirał Courbet nic o tem nie wie.

Wyjaśnienia, albo raczej doniesienia urzędowe „sytuacyi" nie ustają w Austryi. Obok cesarza, występują kolejno ministrowie z mowami przed reprezentacyą narodu i dokładają wszystkich sił, ażeby jej zupełnie pomieszało się w głowie. Scholastyka polityczna nasnuła tyle odcieni rozmaitych sojuszów, porozumień itd., że już trudno je uchwycić i odróżnić. Główne zabiegi wszakże są ku temu, ażeby stosunek z Niemcami wyglądał jak najpiękniej.

---

**Kraków.** Rozpoczął się tu 12-go b. m. przy drzwiach zamkniętych proces przeciw Malankiewiczowi, który rzucił petardę pod gmach policyi. Na ławie przysięgłych zasiadają tuzy krakowskie: hr. S. Tarnowski, prof. Wróblewski, Homolak i inni.

---

## GŁOSY PISM.

**Moskowskija Wiedomosti** z powodu obrad komisyi pod przewodnictwem Kochanowa piszą:

„Poruszona została w tych czasach kwestya zarządów miejscowych, jak mówią, tak zwana komisya kochanowska ma zamiar przeprowadzić w tej sferze zasadę wyborów, które wszystkiem będą rządziły. Doktrynerom naszym wydaje się, że zarząd powstały z wyborów jest rzeczą arcy liberalną i dobrą. Tymczasem rezultat wyborów jest zawsze dziełem stronnictwa. Czyż więc ma to być rzeczą liberalną oddanie jednej części ludności na łaskę i widzi-mi-się drugiej? Czy można to nazwać samorządem? Albożinteres prywatny, który zwyciężył w walce wyborczej, może przedstawiać rękojmię bezstronności i słuszności? Albożnie zginie w takiej walce stronniczej, nie przepadnie zawsze sprawa publiczna, powszechna, mająca osobne na oku dobro, szczęście ogółu i te wszystkie wielkie cele, do których z obowiązku zmierza rząd państwa? Gdzie zasada wyborcza, tam stronnictwa; gdzie stronnictwa, tam walka; a gdzie walki stronnicze, tam w środkach nie przebierają. Tylko władza rządowa uwzględnić może jednakowo każdy pojedynczy interes, każdą potrzebę indywidualną i dać im zadość uczynienie w związku i harmonii z ogólnym interesem wszystkich. Chodzi tylko o to, aby organy jej postawione były w takich warunkach, iżby wiernie ten obowiązek pełnić mogły. Pozostawmy każdemu swobodę w jego sprawach własnych; tego potrzeba, tak być powinno; ale całkiem co innego dać przewagę jednemu interesowi prywatnemu nad innemi i poświęcić te ostatnie tamtemu. Nie byłożby to raczej powrotem do pierwotnego haosu, z którego państwo z taką trudnością się wypracowało? Ale bo też doktrynerowie nasi pragnęliby ten chaos podnieść do godności zasady i ugruntować na nim wszystkie zarządy w gubernii, powiecie i włościach państwa rosyjskiego, z wyparciem, o ile tylko można, władzy państwowej, której wtedy nieby chyba nie pozostało, jeno pojechać za granicę."

**Żywopisnoje Obozrenie** taką zamieszcza charakterystykę *N. Wremieni* (według *Wieku*).

„Poświęciwszy się służbie najgrubszym instynktom tłumu, *Nowoje Wremia* w szkaradny sposób urąga najszlachetniejszym porywom myśli rosyjskiej. Nie zajawszy żadnego określonego stanowiska i punktu zapatrywania, prowadzone przez ignorantów, zamiast objaśniać opinię publiczną i właściwemi prowadzić ją drogami, wniosło pośród naszej prasy demoralizujący wpływ paszkwilu i skandalu. Skalanemi swemi usty broni rzekomo cerkwi i prawosławia, a współcześnie popularyzuje *Nanę* i drukuje najwyraźniejsze paszkwile z życia prywatnego mę-

żczyzn i kobiet (artykuły o baronie Korfie, o pani Kaszewarowej). Nie ma nic obmierzlejszego nad łzy krokodylowe takiego dziennika, wylewane nad szantażem w prasie. Toż powodzenie osiągnięte przez *Nowoje Wremia* na tej drodze i zupełna bezkarność zrodziły właśnie cały szereg organów szantażu. I co znaczy nawet ten szantaż praktykowany z aktorkami, przedsiębiercami ogródkowymi i t. p., w porównaniu z taktyką rozwijaną przez *Nowoje Wremia* względem przeciwników? I czy jest sposób, zapytujemy, do pogodzenia się z organem takich ludzi, którzy wedle malowniczego wyrażenia L. Połońskiego, „własną twarzą gotowi chlupnąć w błoto, byle odrobinka tego błota chlupnęła na przechodnia?"

---

## Gniazdo paszkwilu.

### III.

Postawmy sobie teraz pytanie, jakiem czołem człowiek, który tak jawnie oddał się w służbę jednej wyłącznie kaście społecznej, który tak otwarcie schlebia jej przesądom, nienawiściom i upodobaniom, tak niewolniczo stosuje się do wymagań swych przedpłacicieli któreby go mogły narazić na utratę części dochodu, ma śmiałość zarzucać całej prasie naszej te właśnie błędy i moralne wykroczenia, które sam popełnia? Co go może skłaniać do ciągłego, brutalnego i najniedorzeczniejszego wrzasku o tej kwestyi, której rozwiązać nie umie, do wichrzenia bez żadnego określonego celu, do nurzania w błocie potwarzy i obelg ludzi najgodniejszych szacunku i instytucyj ze wszech miar pożytecznych i uczciwych? Sądzimy, że po tem wszystkiem, cośmy wyżej powiedzieli, wobec tych faktów, jakieśmy przytoczyli, przyznają nam czytelnicy, iż powodem tej szlachetnej działalności nie może być chyba nic innego, jak znana, stara jak świat, choć przez swych adeptów właśnie najbardziej poniewierana *auri sacra fames*. Nie przypuszczamy wprawdzie, żeby w społeczeństwie naszem mogło się znaleść tylu tak bardzo *niewybrednych* fanatyków, by pożądliwość ta mogła zostać zupełnie zadowolona. Nic to jednak nie stanowi o istocie rzeczy — *in magnis t voluisse sat est!*

A teraz, przedstawiwszy już sprawę tak, jak nam surowa sprawiedliwość nakazywała, możemy dać miejsce uczuciu ludzkości i zaznajomić czytelnika z okolicznościami łagodzącemi. Nadmieniliśmy już wyżej, że p. J. nie rzucił się na, uprawianą przez siebie, drogę zarobku dobrowolnie, lecz był iść nią zmuszony. Bo czyż redaktor, który wierzy swym współpracownikom, że podług pozytywistów „*materya jest* jedyną *siłą* (!)" (nr. 26 z r. z.), że fizyka zna jakąś specyalną „*siłę* ruchu (!)" (nr. 39), że zdaniem materyalistów „*życie* jest kombinacyą fizykalnych i chemicznych *części* (!!)" i że „trysnęło ono wprost (?) z martwej materyi *bez powodu* (!)," że Tacyt napisał jakieś *Res Romane*, a Pompejan (?!) był astronomem i w dziele *O podniebnych gwiazdach* (!) pisał o żydach (nr. 47), że *terrae species* znaczy: *nora*, że pani de Sevigné, zmarła w r. 1696, pisała o Napoleonie I, urodzonym r. 1769, że inicyatorem *Kodeksu Napoleona* był jakiś *sławny*, a nigdy niebywały, de Thierry *) (wychodzi to na jedno, co gdyby powiedziano, że *Maryę* Malczewskiego napisał „sławny" Piekarski), itp. itp.— czyż dziennikarz, niemający nawet pojęcia o gramatycznym rozbiorze logicznym i nieumiejący postawić porządnie znaków przestankowania *), mógłby liczyć bodaj na jednego prenumeratora, nie schlebiając namiętnościom i nienawiściom pewnego koła ludzi pieniężnych, dla których wyrzucić 6 rs. rocznie za kilkadziesiąt arkuszy makulatury pod placki wielkanocne jest drobnostką i których przytoczenie modlitwy „hebrajskiej:" „Sure, aj waj kiś hudym gojłym mazełtof," z przekładem polskim: „Boże, pozwól mi okpić goja" — bawi i zadawalnia? Czyż *uczony* taki mógłby redagować pismo, nie ograniczające się na szczuciu i wymyślaniu, obowiązane poruszać jakieś sprawy ogólniejsze, których traktowanie wymaga koniecznie pewnego wykształcenia? A nuż by mu jaki rzecznik „nowoczesnego konserwatyzmu" napisał, że dusza „podług materyalistów," jest krokodylem w stanie pary, a myśl — rzepą diluwialną? Mogliby się najwyrozumialsi abonenci odstraszyć. Nie potępiajmy go więc zbyt surowo, że zarabia na życie, jak umie i może!

Nie przeszkadza nam to jednak poznać, jakiej broni bohater nasz używa w walce z przeciwnikami. Żadne studya nie idą zupełnie na marne, i ta więc wiadomość może nam się przydać. Tak tedy, gdy B. Prus zażartował sobie z *Roli*, „*szef*" jej wystąpił najprzód z całym artykułem wstępnym (*Z pod zasłony*, nr. 24 z r. z.), mającym na celu rzucenie niskiej insynuacyi na człowieka, cieszącego się za swój talent, zacność serca i prawość charakteru tak ogólną sympatyą i szacunkiem, a następnie insynuacyę tę wzmocnił jeszcze w odpowiedzi na jej odparcie, grożąc (nr. 26); „Tylko niewolno panu zaglądać nawet do mego przedpokoju (Prus nadmienił, iż niezależność p. J. polega, widocznie, na posiadaniu 2 czytelni), tylko, drogi panie, zdaleka od mych spraw prywatnych i ucznić osobistych, bo mógłbym, mimo całej dla pana wyrozumiałości, powiedzieć jakieś słowo *szkaradne*." Powtórzyło się to po raz trzeci w nrze 42: „Radziłbym tylko p Prusowi przy uśmiercaniu *Roli* wystrzegać się zwrotów mniej przystojnych (P. nazwał p. J. fuszerem w antisemityzmie) nawet dla judofilów. W przeciwnym razie moglibyśmy dojść do mniej gorących uwielbień i mniej miłych... wspomnień..."

Kiedy fejletonista *Kłosów* ujrzał się zmuszonym odeprzeć napaści p. J., a redaktor tego pisma, Pług, przeprosił czytelników w dopisku, że „pozwala polemizować z takim chwastem, jak *Rola*", szlachetny „szef" żydofobów, nie rozumiejący innych pobudek nad pieniądz, zarzucił mu, że sprzedaje swoje przekonania i że „*służąc* u p. Lewenthala *musi* pisać paszkwile..., a w ferworze swej służby dla dobra Izraela nie chce widzieć nawet własnego poniżenia i utraty tego szacunku, jaki mu *niegdyś* żytomierska przeszłość zjednała" (nr. 47 z r. z.).

W procesie Świętochowskiego z Piltzem, p. J., nie znając sprawy i nie czekając ani jej wyjaśnienia, ani wyroku, przez kilka numerów z rzędu połowę szpalt zapełniał niesłychanie brutalnem i niegodziwem szarpaniem redaktora *Prawdy*, a nie zadowolniwszy się jeszcze tem, po zapadnięciu wyroku, przytoczył z niego, w skomponowanym przez siebie liście jakiegoś „młodzieńca," jeden tylko ustęp, dołączywszy potwarz, że „uniewinnionego przez sąd Ś. podał w podejrzenie chytrze z całości powyrywanemi półsłówkami i półzdaniami" (nr. 25 z r. b.). Gdy krakowski korespondent *Prawdy*, opowiadając (w nr. 39 z r. z.) o rozmaitych niedorzecznościach, w starym *Kalendarzu jezuickim* za cudowne fakta podawanych, wspomniał także, iż Sobieski podług tradycyi ultramontańskiej był „*znanym niedołęgą, któremu, kto nie chciał, kroił kurtę*, i dopiero pomodliwszy się w kościele OO. karmelitów odniósł świetne zwycięstwo," p. J. wyrwawszy podkreślone zdanie (nr. 43), przypisał je „delegatowi *Prawdy*" (nazwa, obmyślona na to, żeby rozumieć pod nią Św.) i nawymyślał jej redaktorowi, że „pluje na świetne karty historyi naszej." Szlachetniej jeszcze postąpił sobie przedsiębiorca „jedynego uczciwego pisma," gdy „Poseł Prawdy," pisząc o procesie Kraszewskiego i zastrzegłszy się, że „wobec *braku* dowodów świadomej zdrady i *nieprzekonywających* świadectw pozostaje nam tylko wierzyć zapewnieniu podsądnego, że igrał z ogniem bezwiednie," dodał iż, „*gdyby* Kr. dopuścił się istotnie, zarzucanego mu, przestępstwa" zasługiwał *by* na potępienie, gdyż nie można przyjmować w sądzeniu faktów „etyki łatanej" (p. nr. 20 *Prawdy*), p. J. pominąwszy zastrzeżenie i warunkowość ostatniego zdania, napisał w nr. 23 *Roli*, że „Św. znęca się nad Kraszewskim, będąc pewnym, iż uwięziony starzec nie wezwie go przed prokuratora; bije więc powalonego i wyrzuca mu „łataną uczciwość." Moglibyśmy przytoczyć wiele jeszcze równie uczciwych wystąpień i „cytat" *Roli*, lecz brak nam już miejsca. Poprzestaniemy więc tylko na przedstawieniu dwóch jeszcze „perełek," najlepiej malujących etyczne pojęcia rycerza antisemityzmu.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, iż w r. z. niejaki p. Korwin-Prendowski wystąpił w *Kuryerze Codziennym* przeciwko *Roli*, broniąc, szarpanego przez nią, honoru p. Dawida Rosenbluma. W kilka zaś miesięcy później tenże sam pan pomieścił znów w *Roli* „list otwarty," w którym doniósł *urbi et orbi* o swojem nawróceniu, pod wpływem „głębszego zapoznania się z kwestyą żydowską," na wiarę antisemicką. Wtedy *Kur. Codz.* ogłosił list napisany przez tegoż p. K.-Pr. do p. D. R., bezpośrednio po pierwszym debiucie, z prośbą o pożyczenie pewnej sumy rubli, której p. R. odmówił. Otóż „szef" *Roli*, w odpowiedzi na nową korespondencyę p. K.-Pr. tak się na te fakty zapatruje (nr. 38 z r. z.): „Wszystkim wiadomo jest to (co za styl!), o czem pan piszesz w nadesłanym nam liście, że wobec braku instytucyj kredytowych ludzie rozmaitych stanów, przyciśnięci potrzebą chwili, muszą o pożyczki udawać się do żydów. Czy zaś udają się oni do Mośków i Srulów, czy też do Dawidów, to już jest wyłącznie ich rzeczą. Sprawa więc pomiędzy panem, a p. Rosenblumem jest *czysto osobistą*, do której żadna redakcya mieszać się nie powinna... Fakt zaś, że p. R. uważa za właściwe ogłaszać *publicznie* cudze listy *prywatne*, nikogo dziwić nie powinien. Wszak każdy walczy taką bronią, do jakiej jest zdolny." Nie komentując tego wylewu antisemickiej etyki, dodamy tylko, że p. J. sam niejednokrotnie ogłaszał *listy prywatne* do rozmaitych, nieprzychylnych mu redakcyj.

Nakoniec, gdy *Gazeta warsz.*, donosząc o obławie na złodziei, nazwała ich „pilnymi czytelnikami pism postępowych," p. J. nietylko ten szlachetny „dowcip" z radością przedrukował, ale opatrzył go dopiskiem: (nr. 48), „Brawo, brawo, więcej takich *cięć śmiałych!* A od tak *uczciwego* organu, jakim jest *Gaz. warsz.*, mamy przecież prawo ich oczekiwać." Takie to pojęcie o uczciwości ma tępy szczwacz z *Roli*, a dziwi się, że ciemne pospólstwo żydowskie jest równie nierozwinięte moralnie!

Ale kto wie, czy on nie będzie nam wdzięczny. Powyższym, może za obszernym, ale dla zdemaskowania gniazda paszkwilu potrzebnym wywo-

---

*) Historyk francuski Augustyn Thierry (bez *de*) urodził się w r, 1795. Co do trzech ostatnich bąków, p. J. tłomaczył się, że, nadesłanego mu przez jakiegoś figlarza, rękopismu przez pośpiech nie przejrzał, lecz przeczy temu pomieszczone w tym samym nrze podziękowanie z dodatkiem: „Ze zdań korzystamy w nrze dzisiejszym. Wkrótce w tym przedmiocie damy rzecz obszerniejszą i dlatego jedynie wypuściliśmy na teraz komentarze." Musiał więc „szef" czytać, kiedy wykreślał. Niestety, co napiszesz piórem, tego nie wyrąbiesz nawet toporem.

*) Przyrzekliśmy wyżej dać próbkę tej umiejętności „szefa." Spełniamy więc obietnicę. By zaś nas kto nie posądził, że wyszukaliśmy umyślnie ustępy wyjątkowo zaniedbane, przytaczamy początek artykułu programowego z nru 1 r. z., na którego opracowanie i korektę p. J. miał chyba dosyć czasu. Dla ułatwienia czytelnikowi oryentowania się w błędach, zaznaczymy wykrzyknikiem w nawiasie te miejsca, w których znak jest postawiony niepotrzebnie, lub gdzie go niema, a być powinien.

„Pod zarzutem nieświadomości swoich dążeń i celów, (!!) nie chcielibyśmy być ani jednej chwili (!) i dla tego też w rozwinięciu tych myśli (!!) o jakie potraciliśmy już w prospekcie, wypada nam zrobić zaraz na wstępie szczere i otwarte wyznanie. Otóż (!) na postawione w tytule artykułu pytanie, (!!) odpowiadamy kró tko: Chcemy, przy pomocy i wpływie naszego organu (!) wytworzyć, (!) w możliwie najszerszych kołach społeczeństwa polskiego,(!)pewną siłę opozycyjną,—(?) pewne stronnictwo wytrwałej walki legalnej na polu ekonomicznem. Może komuś cel podobny wydawać się zbyt hazardownym, zbyt trudnym do osiągnięcia; my jednak, (!!!) nie przestaniemy wierzyć, że wśród zadań i dążeń ludzkich, (!!!) nie ma takiego, któreby, przy wytrwałości i sile woli, nie dało się urzeczywistnić. „Geniusz to cierpliwość, — (?) powiedziano już dawno, a życie stwierdza tę wielką prawdę, (!!!) na każdym kroku."

dem daliśmy *Roli* pożądany materyał. Z pewnością na rok wystarczy jej nasza wzgarda jako temat do artykułów wstępnych, fejletonów, odpowiedzi redakcyi i innych wylewów potwarzy, przyprawionej kłamstwem *).

*W. Wścieklica.*

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Nowy podatek od koni** przedstawiony został do zatwierdzenia ministeryum.

**Nowa operacya finansowa** jest przedmiotem rozpraw dzienników rosyjskich. Dyrektor berlińskiego Banku dyskontowego Hansemann w imieniu tej instytucyi oraz domu Bleichröder i sp. zaproponował konwersyę rosyjskich pożyczek państwowych. Przyjęcie tej propozycyi jest jeszcze wątpliwem.

**Książka zbiorowa**, wydana dla uczczenia zasług prof. Szokalskiego, zawiera prace wszystkich niemal okulistów polskich, a odbitą została tylko w 150 egzemplarzach.

**Katedrę akuszeryi**, opróżnioną po Tyrchowskim, ma otrzymać p. Jastrebow z Petersburga; zastępczo zajmuje ją zasłużony dr. Neugebauer.

**P. Justyna Kulikowska** ukończyła szkołę technologiczną w Bostonie i wyjechała do kraju.

**Halle centralne**, na wzór zagranicznych, mają być założone w Warszawie. Czas!

**Opera**. Wystawiono w Warszawie operę Ponchiellego *Narzeczeni*—bez powodzenia.

**Konkurs dramatyczny** odradza się jak Feniks. Znowu „koło miłośników sztuki krajowej" złożyło potrzebny fundusz i powołało do komitetu: pp. W. Bogusławskiego, J. Brzezińskiego, D. Henkla, K. Kaszewskiego, J. Keniga, W. Kretkowskiego (?), J. Królikowskiego, E. Leo, W. Szymanowskiego. Pierwsza nagroda rs. 1000. druga 500; oprócz form zwykłych zastrzeżono, ażeby utwór posiadał „*koniecznie* warunki, odpowiadające wszelkim wymaganiom sceny i wypełniał całe przedstawienie," Termin: 31 grudnia 1885 r., adres: redakcya *Gazety polskiej*.

**Album** malarzy polskich Robiczka zawiera w zeszycie VI *Niedźwiedziarza* H. Lipińskiego i *Kopernika* A. Lessera.

**Szczególny jubileusz** obchodzili prawnicy: święcono 50-letnią uczciwość i zdolność adwokacką mecenasa Grabowskiego. Była to pewnego rodzaju nagroda Montyona.

**Towarzystwo wioślarskie** z d. 1 października liczyło 940 członków i posiadało 18,508 rs. majątku. Flotyla jego składa się z 33 łodzi wspólnych i 16 będących własnością członków.

**Uniwersytet** warszawski posiada w r. b. 1253 studentów: na wydziale lekarskim 593, na prawnym 462, na przyrodniczym 83, na matematycznym 67, na filologiczno-historycznym 48.

**J. Brandes** ma przybyć do Warszawy w lutym dla wygłoszenia kilku odczytów po francusku. Tak donoszą gazety—w liście do nas pisanym nic on o tem nie wspomina.

**Hygiena.** W *Kronice lekarskiej* dr. Lubelski pomieścił sprawozdanie ze zjazdu hygienistów w Hadze.

— Wystawa hygieniczna w Londynie ma być w końcu tego miesiąca zamkniętą. Komisya rozdała już nagrody i odznaczenia: polaków, którzy zresztą przyjęli drobny udział, wyróżniono słabo: p. Czyński z Jarosławia otrzymał medal srebrny za pierniki, migdały i biszkokty; szkoły zaś rzeźbiarskie w Zakopanem i Rymanowie oraz koronkarska w Kańczudze zaszczycono uznaniem dziękczynnem. Dodać należy, że wyroby tych szkół nie były przygotowane na wystawę, lecz je posłała posiadająca kilka okazów osoba prywatna.

**Cholera** ukazała się w Paryżu. Widocznie jednak przygotowano się do walki z nią, bo zabiera ofiary zaledwie dziesiątkami.

**Po ludzku.** W Ragnicie (Prusy wschodnie) wychodzi gazeta litewska, której jeden egzemplarz otrzymywała miejscowa policya. Obecnie zawiadomiono redakcyę, ażeby dostarczała pismo w „języku zrozumiałym."

**Sprostowanie.** Z Petersburga odbieramy następujące objaśnienie wiadomości podanej za *G. warsz.* i innemi pismami: „Pomieszczoną w ostatnim (45) nrze *Prawdy* wzmiankę, jakoby „Metryka Litewska" skutkiem częstych *fałszowań obecnie* dla użytku publicznego zamkniętą była — prostuję w dwóch punktach: 1) Niema w Metryce żadnych wspomnień lub śladów jakichkolwiek fałszowań po przewiezieniu Archiwum do Petersburga. 2) Metryka Litewska w Petersburgu *nigdy* nie była Archiwum publicznem. Lubo korzystanie z jej zabytków, z obawy *możliwych defraudacyj*, jest nieco utrudnione, wymaga bowiem specyalnego pozwolenia m. sprawiedliwości, wszelako nie równa się to zamknięciu Archiwum dla użytku publicznego, tem bardziej, że prawo wstępu udzielane bywa prawie wszystkim, proszącym o nie. Regulamin ten trwa co najmniej od 1846 r. i *obecnie* żadnej nie uległ zmianie."

**Zmarli**: L. Hubert, autor wielu rozpraw historycznych, w Warszawie.

— B. Stieglitz, słynny bankier, w Petersburgu.

*) Mały polipek ukazał swoją odnogę w *Dzienniku dla wszystkich* — pisemku słynnem kobietą z wężem. Fejletonista tego pisemka, zakrywający pseudonymem całą swą postać z wyjątkiem uszów, powiada, że p. Świętochowski „wynajął" mnie do schłostania p. Jeleńskiego, bo sam „osłabł." Pomijając takt redakcyi, dozwalającej podobne paskudztwa drukować przeciw człowiekowi, któremu niedawno ufała i powierzyła rozstrzygnięcie swego sporu w sądzie polubownym, nadmienić winienem, że w powyższem wystąpieniu nie szło mi o obronę *żadnej* osobistości przeciwko zarzutom, które samą swą ohydą się znoszą, lecz o rozebranie szkodnictwa publicznego z idealnych obsłonek, o wskazanie złośliwego nowotworu, a w całym tym zamiarze i jego spełnieniu byłem zupełnie samodzielnym. P. Bonawentura Kropidło zatem może się uspokoić, że ani w tym, ani w żadnym innym wypadku, zarabianego przezeń najmem, chleba zazdrosnym jego ustom nie uszczuplę.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. Adamowi F.* Za pośrednictwem jednego z wymienionych adwokatów możecie — damy.

*P. L. Brylantowi.* Dlaczego Pan udajesz się do nas, zamiast do sądu?

*P. W. K. w L.* Najlepiej pouczy Pana w tym przedmiocie świeże dzieło H. Johnstona (w przekładzie niemieckim) *Der Kongo*, u Brockhausa w Lipsku.

*P. Gracyanowi P.* Nie zrozumiemy nigdy, czemu ktoś, przesyłając opis jakiegoś faktu do redakcyi, czyni to bezimiennie, tem więcej, że żadne pismo z doniesień takich nie korzysta? Jako obrazek powieściowy, szkic pański niema żadnej wartości.

*P. H. Tar. w Włocławku.* I my nie znamy jego adresu. Sądzimy wszakże, że znajdziesz Pan chętnych nabywców na komplety *Prawdy* z lat ubiegłych, dawno wyczerpane. Wielu abonentów zgłaszało się po nie do nas, podajemy im tu więc adres: Księgarnia Neumanna w Włocławku.

*P. W. Lut. w Dorpacie.* Polskiego niema; z zagranicznych posyłamy Panu pod opaską numery próbne najpopularniejszych pism i katalog.

*W. G.* Poszukamy.

*Realiście.* Polskiej niema. Niemiecka Wundta: *Grundzüge der phys. Psychologie*, francuska Despine'a *Psychol. naturelle*; także tłómaczone dzieło Spencera *Les principes de la Psychol.*

*Prenumeratorowi.* Niemiecko-polski Booch-Arkossego rs. 5 k. 50 (w oprawie), francuski Janusza rs. 2 k. 70 (w opr. 3. k 25).

## OFIARY.

*Na powodzian.* Korbusz rs. 2, Stryjski rs. 3 z Czehryna, Członkowie korporacyi studenckiej „Weletya" z Rygi oraz goście na zabawie w tejże korporacyi rs. 45.

*Sprostowanie.* W nrze poprzednim *Prawdy* str. 530, w. 3 z góry zamiast: powodził, czytać należy: urodził.



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Ноября 1884 г. Redaktor i Wydawca. dr. fil. A. Świętochowski.